

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 42. Warszawa, dnia 9 (21) Października 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	„ 4 —
kwartalnie	„ 1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie	„ „ 50	w Prusach „	24 marek.

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

Wysiłki bez poparcia.

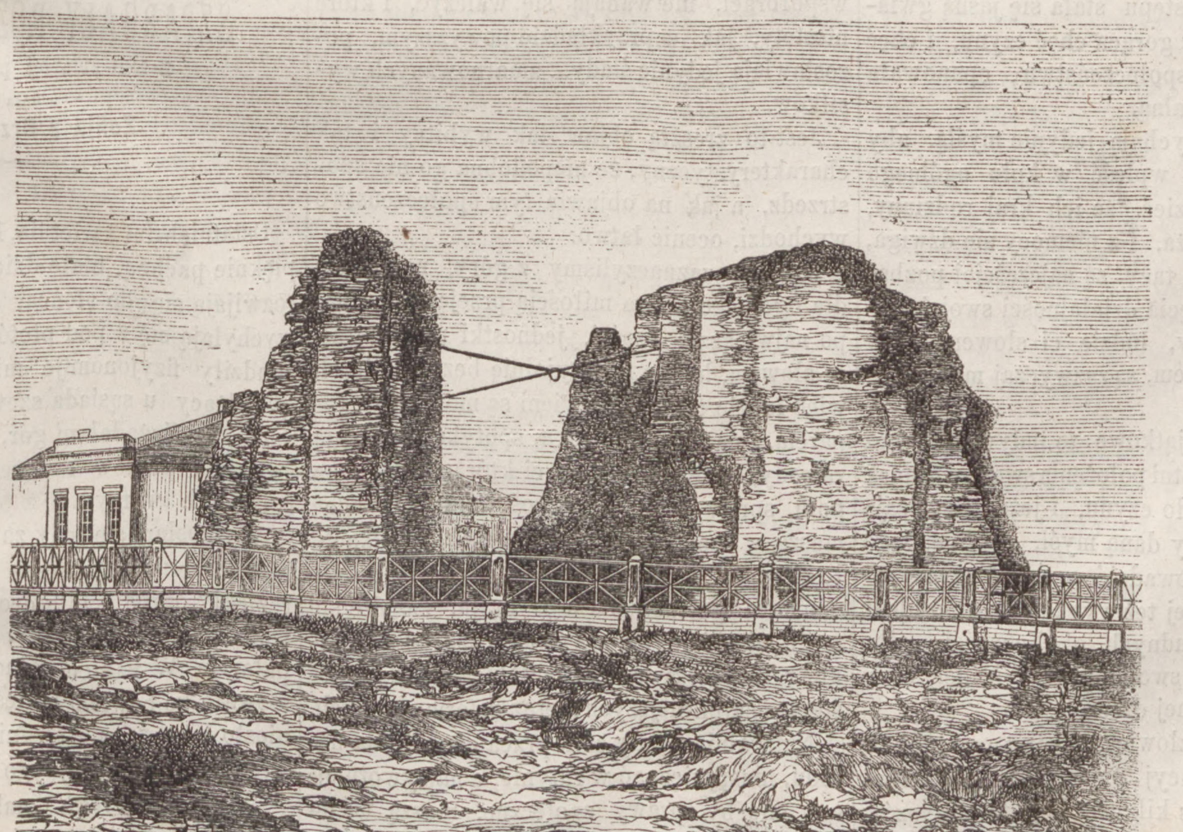
„Eh! alboż u nas można co zrobić? Alboż u nas warto co podnosić? alboż te wszystkie projekty i nawoływania przydadzą się na co?“

Nieraz zapewne obiły ci się czytelniku o uszy te apodaktyczne frazesy, i nieraz zapewne pomyślałeś sobie w duchu „tak, prawda, trudno u nas na polu spraw ogólnych coś zrobić, trudno dany projekt przeprowadzić w praktykę, bo częstokroć przy najpiękniejszych projektach, najgorętszych i najlepszych dążnościach, następuje w rezultacie zniechęcenie — i opadają ręce.“

W istocie tak u nas bardzo często, tak najczęściej nawet się dzieje, ale kto temu winien?

Ciężkie warunki i okoliczności zewnętrzne, odpowiedzą nam jedni; brak wytrwałości, powiedzą inni; brak środków materyjalnych, doda jeszcze ktoś trzeci, a każda z tych odpowiedzi będzie miała słuszność za sobą, ale słuszność względną.

Przyznajemy, że ciężkie są warunki naszej pracy społecznej, ale nie przestaniemy utrzymywać, że same narzekania nie usuną złego i że przy najtrudniejszych warunkach można jeszcze coś zrobić. Że brak wytrwałości stanowi naszę wadę, to także fakt uznany ale prawdą jest niemniej, że nieraz jednostki z wytrwałością żelazną upadają i giną, przygniecione ciężarem zawodów ze strony tych, dla których pracę swoję w zakresie świętych celów społecznych poświęciłby radzi.



Kijów. — Złota brama.

Co się wreszcie tyczy środków materyjalnych, prawda, nie jesteśmy bogaci, lecz czyż mimo to nie marnuje się u nas wiele zasobów, dla dogodzenia bladze i bezmyślnej próżności, wtedy gdy takowe na ołtarzu dobra społeczeństwa własnego złożonemi być winny?

Ostatecznie więc i ściśle rzecz biorąc, przyznać wypadnie, że jeżeli u nas setki ogólniejszych projektów przepadają bezpłodnie, i jeżeli najlepsze nieraz chęci i wysiłki jednostek idą na marne, to objaw podobny musi być wynikiem głębszych ja-

kichś wpływów i przyczyn, że słowem obok ciężkich warunków, obok braku wytrwałości i braku środków materyjalnych, musi istnieć, coś, co owe apodaktyczne „alboż u nas można co zrobić“ z goryczą i jakby mimowolnie powtarzać nam każe.

Przedewszystkiem więc rozważmy nieco bliżej, kto u nas na polu spraw ogólnych usiłuje się krzątać, i kto tem samem dla pożytku społeczeństwa pragnie coś zrobić?

Czy ci, którzy od społeczeństwa w którem żyją otrzymali najwięcej stosunkowo materyjalnych korzyści, i którzy tym sposobem, do pracy obywatelskiej najsilniej są obowiązani?

Niestety w tem właśnie sęk, że się u nas wprost przeciwnie dzieje. Większość *naszych możnych* (mówimy o większości, bo wyjątki i tutaj się zdarzają) zasklepiona w ciasnem kole albo własnego sybarytyzmu albo własnych *gescheftów*, wie tyle o sprawach i potrzebach ogółu, ile ogół wie o sprawach i potrzebach... księżyca; czyli że na działalność społeczną ludzi bogatych, wpływowych, nikt u nas nie liczy.

Natomiast jednostki, które względem społeczeństwa, najlepszemi zdają się być ożywione chęciami i które najsilniej, lepszej doli dlań pragną, jednostki takie z innej sfery pochodzą, i nad ich też genezą oraz charakterystyką ogólną zastanówmy się chwilkę.

Kiedy przed laty kilku w zakresie interesów społecznych, obudził się jakiś ruch wybitniejszy, i kiedy myśl podźwignięcia się z biedy, zdawała się do różnych warstw przenikać, wtedy poczęły tu i owdzie, zarówno na polu literatury jak i zajęć praktycznych, zarówno w pojedyńczych gałęziach pracy przemysłowej, jak i w danych instytucyjach prywatnych, występować coraz liczniej, jednostki dla których miłość postępu stała się jasną gwiazdą przewodnią, a gorąca chęć czynu, i chęć przysłużenia się społeczeństwu, opanowała całą ich istotę moralną.

Ludzie tacy oddychają jedynie myślą, aby działalność swoję wpleść w koło ogólnego pożytku; aby widzieć, że ich kraj rodzinny, ku lepszemu podąża, i z niemocy się dźwiga, ale niestety, ludzie tacy są najczęściej pozbawieni, dla rozwinięcia działalności swojej, pozytywnej podstawy, ludzie ci słowem, przy bogactwie duchowem, są zazwyczaj materyjalnie ubodzy.

Jeżeli więc wyjątkowe te indywidua, bez względu na ów ostatni położenia swego warunek rwą się jednak do czynu, i jeżeli wytężają wszystkie siły, aby daną myśl, ogólniejszego znaczenia, przeprowadzić w świat rzeczywistości, to najczęściej też wypada im albo uledz pod przemocą trudnych okoliczności, albo wyrzec się z góry swoich pięknych idei, i pogrążyć w apatycznej drzemce.

Oto np. młody człowiek p. Q. jest urzędnikiem w jednej z instytucyj prywatnych i widzi aż nadto jasno, że los kilkuset jego towarzyszów pracy, jego kolegów, mógłby w ten lub inny polepszyć się sposób; że przy rozumnem wzięciu się do rzeczy, moralny i materyjalny byt otaczającej go klasy pracujących jednostek, mógłby się silniej jakoś zabezpieczyć i podnieść.

Pan Q. przeto występuje z inicyjatywą utworzenia, dajmy na to własnej „biblijoteczki urzędniczej,“ uorganizowania, czy też zreformowania kasy, w której urzędnicy mogliby składać lub składają swoje zaoszczędzone fundusze i t. p.

Z początku inicyjatywa pana Q. budzi żywe niby zajęcie; następnie jednak inicyjator spotyka z jednej strony, jako *nowator* i „człowiek niespokojny“ (!) poważno-dygnitarską niechęć, z drugiej... obojętność.

Wszystko to jednak nie zdaje się pana Q. zrażać, bo przed nim widnieje cel szerszej działalności społecznej, bo pan Q. pragnie coś zrobić dla ogółu swej braci. Walczy więc wytrwale i przyzywając na pomoc całą swą odwagę cywilną, zagląda śmiało w oczy usiłującym zniweczyć jego plany... powagom, usiłuje łamać te i owe przeszkody, lecz w końcu, wyczerpawszy wszystkie siły w odosobnionej walce, pan Q. pozbawiony przez *niechętnych* chleba i skrzywdzony moralnie, pada zniechęcony do dalszej pracy.

Pada, ale dlaczego?

Czy dla tego tylko że był biednym jedynie urzędnikiem prywatnym i nie miał dla przeprowadzenia postępowych swych dążności dostatecznych sił materyjalnych.

Nie, nie tylko dla tego?...

Pan Q. padł zwyciężony, bo na drodze swej działalności spotykał obojętność ze strony tych, których dobra pragnął, bo jego praca, była *wysiłkiem bez poparcia.*

Czytelniku szanowny! jeżeli znasz cokolwiek nasze stosunki, rozejrzyj się w koło, a przykładów podobnych nie braknie ci z pewnością.

Znajdziesz je w każdej niemal sferze interesów i zajęć, bo wszędzie trafiają się jednostki, które w imię postępu i miłości dobra swoich współbraci, nie wahają się walczyć, i które niestety, jak w przykładzie powyższym, pozostawiają jedynie ślady... zmarnowanych wysiłków.

Jest to zresztą objaw tak wybitny i tak charakterystyczny, że niepodobna go nie spostrzedz, a jak na objawie tym społeczeństwo wychodzi, ocenić łatwo.

Jak już zaznaczyliśmy z góry, najżywszą dla ogólnego dobra miłością przejęte są u nas po największej części, jednostki niezamożne, są słowem, ludzie materyjalnie bezsilni. Jeżeli więc ludzie tacy pozbawieni są moralnego poparcia, i na każdym kroku, spotykać ich mają zawody, jeżeli wszyscy ci którzy pragną na polu spraw ogólnych „coś zrobić,“ upadać muszą w samotnych bezowocnych wysiłkach, to skąd, w rezultacie dla zaspokojenia owego mnóstwa potrzeb naszego kraju, znaleźć się może jakaś inicyjatywa praktyczna? skąd w takim razie oczekiwać można, jakiegoś bodźca postępu i najpilniejszych nieraz reform ogólnych.

Naturalnie wtedy cała praca organiczna narodu, musi więznąć w rutynie, a najżywotniejsze choćby sprawy społeczne, muszą iść *ad acta* i tę też smutną konsekwencyją widzimy dziś niestety.

Po chwilach zapału i pewnej niby energii społecznej, nastąpiło niekorzystne bardzo omdlenie, które bodajby nas do dawniejszej apatyi doprowadzić nie chciało...

A w istocie smutny ten rezultat jest o tyle bliższym i pewniejszym o ile summa *wysiłków bez poparcia* zwiększać się będzie.

Walka bowiem odosobniona, choćby dla najświętszych celów podejmowana; nawet najodważniejszych nie jest w stanie napełniać otuchą i do wytrwałości zachęcać, to też w takiej walce, w walce przeciw rutynie i zacofaniu, poparcia moralnego, nacisku nawet ze strony całych kół interesowanych, koniecznie potrzeba.

Dlaczegóż jednak u nas o warunki te właśnie tak trudno? Miałażby istnieć u nas taka już apatyja w zakresie spraw społecznych, że nawet tam, gdzie nieraz pewna klasa jednostek widzi własny interes i własne dobro, nikt nie jest zdolnym poprzeć idących w pierwszych szeregach?.. Miałożby wreszcie zamiłowanie postępu, tak słabo być wpośród mass rozwinięte.

Zapewne jest i jedno i drugie; jest apatyja, jest i brak zamiłowania rzetelnego postępu, ale obok tego, kto wie czy nie najwięcej znaleźćby można *moralnego tchórzostwa.*

Massy mają poczucie słuszności i prawdy, ale rzadko kto ma dosyć cywilnej odwagi w obronie prawdy tej stanąć; wielu pragnie postępu, ale wyjątki zaledwie czują dość mocy w sobie dla zerwania z zapleśniałą rutyną; wszyscy wreszcie pragniemy polepszenia bytu społeczeństwa własnego; ale nie wielu do polepszenia tego—czynną i energiczną chce przyłożyć rękę.

Tym to więc sposobem obok massy sił marniejących w bezczynie, widzimy same prawie odosobnione porywy, same *wysiłki jednostek,— bez poparcia ogółu.*

A czy, pytamy, droga ta daleko nas zawiedzie?...

Jan Jeleński.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

I.

Ostatnich dni kwietnia, 184* r. kiedy bzy tak pięknie pachną, białe dziewicze listki jaśminu rozwijają się do słońca, a młode pokrzywki wychylają się z pod płotów, obrzydł mi bruk, znudziły fizyjonomije miejskie; nawet kos gwiżdżący u sąsiada szewca, stał mi się nieznośnym. Zażądałam gór, drzew, ryku trzody, świegotu ptaków i szczerego uśmiechu wieśniaczych twarzy.

Wyniosłam się tedy za miasto, do ślicznego białego domku, którego okna wychodziły na rozległy ogród i bitą drogę, a który sąsiadował z domem obszernym zwanym etykietalnie pałacem. W pałacu ludno było i gwarno, zajmowało go bowiem jakieś państwo, co się wyniosło także z miasta, nie wiem tylko dla powietrza, czy dla dobrego tonu.

W około białego domku zieleniły się bzy, a wyniosłe topole szumiały z cicha, kołysząc się po nad dachem. Drzwi szklane wychodziły z sali do ogrodu, oko ginęło w gęstych zielonych kłąbach; tulipany, narcyzy, lilije grzały się na słońcu, opłukane wiosennym deszczem bujniały co chwilą. Lubując się tym widokiem poszłam do ogrodu, przebiegłam go

od początku do końca, witając okolice dawno nie widziane. U stóp ogrodu słały się domki, rzeka, pomniki, kościoły, wieniec rozzielenionych pagórków i mnóstwo ludzi, krzątających się około spraw powszedniego żywota, jak mrówki na wiosnę. Stojąc na wzgórzu, wyciągnęłam do cmentarza ręce: chciało mi się wszystkich zmarłych obudzić; niechby się ucieszyli wiosną, kwieciem, słowikiem, a na zimę legli znowu w grobie... Wśród tych myśli, nad samą głową zaśpiewał mi słowik; zrazu głosił przerywane tryle, próbował gardełka, kołysał się na bzie rozkwitłym, zazierał na wszystkie strony ciekawie, oczki okrągłe jak paciorki zamykał i otwierał, szare skrzydełka rozwijał i zwijał znowu, nareszcie taki dał koncert, że żaden mistrz nie da równego; mieszkaniec podniebny śpiewał darmo, orkiestrą jego były zefiry.

Wtem ktoś się odezwał:

— Dzień dobry pani.

Odwracam się, a to pan Ficel, gospodarz domu; stary, siwy, kiedyś piękny; exkamerdyner zamożnego domu.

— Czy zadowolona pani z mieszkania, zapytał, czy dzwony kościelne spać pani nie przeszkadzają?

— Co prawda, zbudzą mię niekiedy, ale w takim razie odmawiam pacierz i znowu zasypiam. Dzisiaj ledwo brzask zawitał słowik i dzwon odezwali się razem. Dzwony dla umarłych i dla samotników poblizkiego klasztoru, słowik głosił wiosnę i radość, dzieciom różnego wieku.

— Tak, tak, tutaj jest mnóstwo teraz słowików, ale za dni parę wystraszy ich illuminacyja i muzyka; pojutrze bowiem imieniny pani Blanki Küks. Będą „siurpryzy“ i chmary gości. Niebardzo ja to lubię co prawda, bo poniszczą drzewa, poobrywają kwiaty; no, ale muszą dobrze zapłacić...

— Któż więcej u pana mieszka?

— W drewnianej oficynie mieszka urzędnik jakiś z żoną; biedni to ludzie, ona suchotnica, on syn zamożnych rodziców; ale rodzice wyrzekli się go zato, iż się z biedną mieszczką, w dodatku córką rzeźnika ożenił. Ta hołota brudzi mi cały dziedziniec; rozwiesza na drzewach dziecinne rupiecie, mamka włóczy się z malcem i depcze trawniki. Onegdaj pani Küks przysłała lokaja z rozkazem, aby to tałałajstwo nie ciągało się po dziedzińcu gdy ona siedzi na ganku. Ja sam nierad jestem z takich lokatorów, ale cóż począć, kiedy ona potrzebuje świeżego powietrza, byle by tylko nie umarła tutaj, bo śmierć zraża mieszkańców, szczególniej lubiących zabawy.

— Któż mieszka na folwarku?

— Na folwarku żydzi, jacyś kupcy; a pomiędzy nimi jest jedna śliczna żydóweczka lubiąca bardzo książki i marząca o niebieskich migdałach.

— Któż najmuje biały domek graniczący z cmentarzem?

— Jakiś filozof czy poeta, bo sam doprawdy nie wiem. O wschodzie słońca błąka się po ogrodzie, sam do siebie coś gada a czasem pisze siedząc na kamieniu. Musi to być jakiś półfiksat, ale bardzo spokojny i wypłatny człowiek. W suterenach mieszkają ubodzy, i tych muszę przepędzić; bo brudzą dom a należności ani wydusić można.

— Gdzież się w takim razie podzieją? Za miastem łatwiej im daleko; tu i chrustu i szczawiu dostanie; tu biedne ich dziatki swobodniej mogą sobie pobiegać, w mieście zaduch, niezdrowo...

— Cóż to mnie obchodzić może? Niech śmieciuchy gnieżdżą się w śmieciach. Tylu próżniaków a pracować nikt nie chce; przejść przez ulicę nie można; bandy dziewcząt obdartych wołają na gwałt: — graficzku! — królu! — senatorze! — daj grosik choćby jeden. Wartoby tę czeredę zmiast wypędzić, albo w turmie gdzie osadzić.

Pożegnałam p. Ficla. Brzydki ton jego duszy głuszył śpiew słowika i mroczył zieloność wiosny. I tutaj więc przyszło mi się spotkać z moralną brzydotą, lubo dokoła tak było pięknie na świecie. Dzwon wygłosił południe, czas było wrócić do domu. Szłam zwolna topolową ulicą, gdy w tem spostrzegłam, siedzącą na ławeczce młodą i piękną z czarnemi oczyma kobietę. Podeszłam bliżej wpatrując się weń ciekawie; zaczytana niepodniosła jednak na mnie oczu, raz tylko gdy spojrzała w górę, zobaczyłam twarz jej bladą i zsiniałe usta. Na całem obliczu nieznajomej rozlany był ból serca i ciała.

Z bocznej ścieżyny podszedł ku niej żydek jakiś w racymorowym żupanie i sobolowej czapce; młody, fertyczny, jedną rękę trzymając za pasem, drugą gładząc kędziory złotawych pejsów. Przemówił coś po żydowsku a kobieta wstała leniwie, niechętnie, nieodrzekła ani słowa i poszła ulicą do domku nazwanego folwarkiem. Była to zapewne piękna izraelitka o której mi p. Ficel wspominał.

Po obiedzie poszłam do ogrodu z robótką. Na niebie cicho było, błękitno, ani obłoczku nasiąkłego łzami, ani chmury ciężarnej rozpaczą; żaden niepokój nie męczył przyrody, jakby zło usnęło, jakby aniołowie przeżegnali ziemię i spuścili na nią kroplę niebieskiej roskoszy. Modre oczki niezapominajek, ochraniane zielonemi ich rzęsy od słonecznego skwaru, otworzyły się zupełnie; nikt nie przejeżdżał drogą, była to chwila wypoczynku bogaczów, gastronomów i pracowitych ludzi. Choć z robotką w ręku, siedziałam przecież bezczynna: myśl moja obejmowała obraz rozwijający się przedemną, obraz uroczysty wskrzesonej natury, za którą jest w każdem sercu tyle wdzięczności dla Stwórcy!

Gdy tak sobie dumam, znów się koło mnie przemknął cień kobiety, ale tym razem kobiety z dzieckiem na ręku. Cień ten istotny, blady i nikły, usiadł na ławce naprzeciw mnie, tuląc dziecię drżącemi rękami. Dziecię to nosiło także na sobie piętno śmierci; latorośl suchotnicy więdła już w kolebce... Ta kobieta to żona urzędnika o którym mi również wspominał p. Ficel.

—Jakie pani ma śliczne dziecię, przemówiłam zbliżając się do nieszczęśliwej matki.

—Chorowite biedactwo, odrzekła stłumionym głosem. Wyniosłam się za miasto, myśląc że oboje odżyjemy tu z wiosną, ale i on i ja nikniemy jakoś więcej codziennie. Mniejsza o mnie, żal mi dzieciny, bo boję się zostawić jej sierotą, dodała łzy połykając.

— Pani dawno cierpiąca?

— Od przyjścia na świat Bolesia. Zresztą choroba to moja dziedziczna, straciłam już dwie siostry na suchoty, a pozostałam sama na to, iżby dostać najlepszego męża, dziecko i pewność prędkiej śmierci. Smutna to dola, ale nie narzekam na nią. Bóg tak chce, niech tak będzie.

— A czy leczysz się pani?

— Tak, leczę się ciągle; od ust sobie odejmując, płaci mąż doktorom i aptece, a że poradzili świeże powietrze wiejskie, najął mi tu mieszkanko, choć p. Ficel zbyt drogo każe płacić sobie za nie. Poczciwy człowiek niezważa na nic, chociaż krwawo, bardzo krwawo dla mnie pracuje. Ach! jakżebym pragnęła pożyć, aby mu się odwdzięczyć za to, odsłużyć, ale i tego Bóg mi widocznie odmawia. Dokoła ludzie się weselą, rosną dzieci i poprawiają się na słońcu, na powietrzu, a moje coraz bledsze, coraz smutniejsze, niknie mi w oczach. Ja też sama ni spać ni jeść nie mogę, chociaż przymuszam się do jedzenia, aby męża nie smucić, a sen udaję dla jego spokojności. Namorduje się ciężko we dnie, niechże choć we śnie odpocznie sobie. Okna sypialnego pani pokoju wychodzą wprost na moje. Jeśli kiedy w nocy zobaczysz jasny promień światła, to będzie błysk gromnicy. Proszę o westchnienie, bo to konać będę ja lub moje dziecię.

W łzawych jej słowach nie było nadziei, ale i goryczy nie było. Zamilkłyśmy obie, dziecię zdrzemało, nadszedł młody, jasnego oblicza mężczyzna.

— A cóż Anusiu, jak się masz dzisiaj, przemówił.

— O daleko lepiej, odrzekła tłumiąc kaszel kobieta. Boleś się bawił i usnął przed chwilą.

— No, ale idźmy do domu, słońce się zniża a wam obojgu szkodzi wieczorna rosa. Idźmy do domu.

Młoda kobieta chciała się dźwignąć z ławki lecz ciężko jej to było, oddała dziecko mężowi, ja jej rękę podałam i zwolna odprowadziłam do mieszkania. Podziękowali mi oboje serdecznym uściskiem ręki i weszli do siebie. Budziłam się kilka razy w nocy patrząc z obawą w okno, czy nie widać blasku gromnicy. O świcie wyszedł mąż chorej, narąbał drewek, zaczerpnął wody ze studni, wyprał dziecinne pieluszki, bo sługę mieli jedną i ta chorych pilnuje.

Nazajutrz odwiedziłam nieszczęśliwą suchotnicę. Siedziała przy kołysce. Skoro mnie spostrzegła schwyciła konwulsyjnie za rękę i rzekła z cicha:

— Bolesiowi memu gorzej, ale ja muszę go przeżyć!

Mąż w drugiej izdebce stał przy oknie i wzdychał. Widziałam jak łzy ocierał, jak przeczucie boleści wybijało się na twarz męzką, piękną poczciwości wyrazem.

Mimo przepych słońca, mimo drzew woniejących, co się gwałtem wciskały do otwartych okien, jakaś melancholijna tęsknota, jakaś grobowa atmosfera była w tem mieszkaniu. Dziecię zakwiliło, matka poruszyła kolebkę i zanuciła drżącym głosem: Śpij mi złotko, śpij pieszczotko!

Tymczasem do bramy co chwila zajeżdżały powozy, aż okna białego domku drżały od kół

turkotu. Była to wigilija imienin pani Küks, mieszkającej w pałacu. Kobiety postrojone, młodzież wesoło uśmiechnięta a wszyscy na oko przynajmniej zdrowi i szczęśliwi. Śpieszyli składać życzenia bogatej pani, mijali obojętnie ubogi domek, a gdyby nawet zajrzeli doń i spostrzegli ile tu łez, ile bolów, odwróciliby co tchu oczy, bo nędza psuje humor, więc źle oddziaływa na zabawę.

Przyszedł doktor, pokiwał głową stojąc nad kolebką, zapisał lekarstwo i wyszedł. Siedziałam cały wieczór z biedakami, po zachodzie słońca wyszłam do ogrodu. Wietrzyk powiewał wonią fiołków, zielona szata łąk srebrzyła się rosą, taka czarująca świeżość, taka młodość w naturze, że schorowanym nawet starcom lepiej się jakoś robiło.

Z ogrodu poszłam na wiejski cmentarzyk; pusto tam było zupełnie, grabarz tylko przygotowywał nową mogiłę, wyrzucając piasek wysoko. Smutny to urząd pomyślałam i wyobraziłam sobie cmentarnika zapłakanym i chudym. Jako żywo: dziad był rzeźwy i wesoły, śpiewał przy robocie.

— Dobry-wieczór, zawołałam zbliżywszy się ku niemu.

— Wieczór dobry imości, usłyszałam w odpowiedzi.

— Cóż, czy wam nie smutno ciągle przygotowywać groby?

— Ha! Cóż robić? Przyzwyczaiłem się już do tego.

— Czyście tutejszy?

— Tak, proszę pani. Dawniej chodziłem po proszonem; teraz, dzięki Bogu, mam kawałek chleba, bo to już rok dziesiąty jak pracuję tutaj. Owdowiałem niedawno, mam córkę jedynaczkę, lat piętnastu, poczciwą dziewczynę. Umie czytać i pisać a teraz uczy się robótek u jednej znajomej mojej na Rajskiej ulicy. A ot leci i ona. Fruziu! Chodźno tutaj, odezwał się grabarz.

Przybiegła Fruzia, a choć wychowana na grobach, świeża była jak róża, zwinna jak sarneczka. Biegła zbierając kwiatki zasiane na mogiłach, uplotła z nich wianuszek, zarzuciła na włosy, uśmiechnęła się do ojca który spojrzał na nią rozczulonem okiem i zapytał:

— Czego chcesz moję dziecko?

— A to ojcze, przyszli zamówić mogiłę dla jakiegoś bogatego pana. Dają o kilkadziesiąt kopiejek więcej bylebyś prędzej ją wykopał.

— Cóż im tak pilno u licha? Czy się boją żeby nieboszczyk nieodżył — że go tak rychło chcą schować?

— Nie wiem mój ojcze, ale pilno im coś bardzo.

— Powiedz że zaraz przyjdę.

Fruzia pocałowała starego w rękę, potem uklękła na najświeższym grobie i zaczęła się modlić gorąco. Wesołość dziecinna znikła z jej twarzy, a smętność powlekła dziewicze lica. Zdjęła wianeczek z głowy, zawiesiła na krzyżu, powstała i odeszła modląc się z cicha.

— Dla niej nie miałbym siły wykopać dołu! Ta dziewczyna, to moje życie, to moje szczęście. Tak, rzekł, muszę umrzeć pierwej, i gruba łza potoczyła mu się po twarzy.

Wracałam zwolna do domu, słońce już zaszło, tylko odblask purpurowy rumienił pomniki. Cień jakiś mignął między szumiącemi drzewy. Podchodzę bliżej, pod krzyżem siedzi kobieta, poznaję w niej izraelitkę, widzianą z rana w ogrodzie. Czarne jej oczy chciały wszystko ogarnąć; widać że całą istnością utonęła w uczuciach, co były jeszcze dla niej tajemnicą. Po długiej chwili podniosła się i szła zadumana. Ubranej po naszemu niepoznał ani grabarz, ani cmentarne baby. Jakaś tylko żebraczka ślepa na jedno oko, obejrzała ją od stóp do głowy i rzekła:

— Ej! czy nie żydówka tylko? bo coś na to wygląda.

— Nie kochaneczko, to dawna moja znajoma, powiedziałam żebraczce, która popatrzyła niedowierzająco, pokiwała głową i pociągnęła dalej.

U cmentarnej bramy spotkałyśmy się z piękną izraelitką i jakoś przyszło do słowa.

— Sąsiadujemy z panią...

— A tak. Bardzo temu rada jestem.

— Pani na długo najęła tutaj mieszkanie?

— Do Ś-go Michała. Jestem cierpiąca, powietrze więc wiejskie jest dla mnie i dla dzieci moich potrzebne. Nie lubię miasta, a muszę codzień jeździć do sklepu, bo jestem kupcową.

Przy furtce ogrodowej rozstałyśmy się z sobą pożegnaniem... do miłego widzenia.



Szlachcic z gub. Kijowskiej w podróży. — Rysunek J. Chełmońskiego.

II.

Gdy ciało w puchach i złocie
Motyle serce obsiędą,
A dusza ugrzęźnie w błocie,
Pająki żywot oprzędą.

Dzień piątego maja był dniem imienin pani Küks. Od rana gwar i bieganina. Całe bodaj miasteczko zbiegło się do solenizantki. Cukry, cukierki, przysmaki szły jedne za drugiemi. Przekupnie żydowscy znoszą zające i inną zwierzynę, służba uwija się po dziedzińcu, a każde coś niesie, każde czemś zajęte. Wizyt rannych moc nieprzeliczona.

Solenizantka w różowym atłasowym szlafroczku, w czepku przystrojonym różami, uśmiecha się uprzejmie do wszystkich. Średniego wzrostu, brunetka, oczu żywych, cery śniadej, do pierwszorzędnych piękności przez młodzież jest zaliczaną. Ułatwiwszy się z gośćmi weszła do kuchni: uśmiech wabiący zniknął; zgniewała się na kucharza, wygderała lokajów, przerzuciła wszystko i wróciła do salonu.

Na samym końcu domu, był niewielki pokój o jednem oknie, wychodzącem na wysoki parkan. Siedział w nim człowiek nie pierwszej młodości, oczy miał smętne, przewracał w ręku taliję kart zużytych.

Weszła Blanka, człowiek ów powstał z kanapy, wyprostował się i milczał.

— Czemu się nie umyjesz? obrzydliwy jesteś. Czemu milczysz jak słup?

Tak przemawiała Blanka, którejby w tej chwili, nikt piękną nie nazwał, a mężczyzna ani słowa nie odrzekł, tylko się patrzył osłupiałem okiem.

— Dzisiaj bal u mnie, proszę żebyś mi się nie włóczył. Onegdaj, podczas obiadu, wszedłeś do salonu i zawstydziłeś mnie, boć nie bardzo miła rzecz być żoną waryjata?

— Jam nie waryjat, jam tylko chory i nieszczęśliwy...

— Cicho, bo oddam do Bonifratrów. Pamiętaj, że mi twoje figle wszystkie dobrze wiadome.

I wyszła śpiewając francuzką piosnkę, a uśmiech czarowny przyszedł na zawołanie.

Samotnik stał skamieniały szepcąc do siebie:

— Wszak wiedziała o wszystkiem, on tylko znał tajemnicę i poniósł z sobą do grobu. Kochał się w niej szalenie, dawał obce pieniądze, a gdy się o nie upomniał, wyparła się wszystkiego. Chciałem złożyć tę summę, poratować biedaka; płakała, padała mi do nóg mówiąc: że się zrujnujemy, przysięgała, że ani połowy nie wzięła, była w rozpaczy. Chciała się utopić, on jeszcze ją kochał i ze wstydu, wolał umrzeć niż zdradzić, a nas nikt nie podejrzywał o żadne wspólnictwo. Nie zapłakała po jego śmierci, a mnie sobie obrzydziła zupełnie. Rozpuściła pomiędzy znajomymi, że mam pomieszanie, że się rzucam na ludzi, że muszę żyć w ukryciu. Onegdaj chodziła po ogrodzie, jakiś modny młokos ściskał ją za ręce. Patrzałem przez okno i szalałem z zazdrości. Ach! biedny ja biedny! Kiedyś wielu mnie słuchało, dziś nie mogę owładnąć jedną kobietą, rzuciła na mnie czary...

Przerwał te słowa zezowaty sługa, postawił wazeczkę z jakąś nędzną zupą, głęboki talerz z wytęchłem mięsem i rzekł twardym głosem:

— Masz! Jedz! Tylko się nie poderżnij!

Zjadł biedak kilka łyżek zupy, pokosztował mięsa, bawił się z nożem ale się nie zarżnął; przywykł do cierpień jak Pińczuk do błota.

D. c. n.

Z KRONIKI WYNALAZKÓW.

Szkło hartowane. — Sztuczne światło do fotografowania w nocy. — Stop naśladujący srebro. — Rośliny wydające proszek tępiący robactwo. — Użyteczność w tej mierze kwasu karbolowego. — Najlepszy lakier czarny. — Kumys domowego wyrobu.

Do najużyteczniejszych wynalazków należy niezaprzeczenie szkło nietłuczące się, przedstawiające wielką siłą oporową, szkło które można rzucać bezpiecznie na kamień jak o tem liczne doświadczenia przekonały. Wynalazek ten ma swoję kartę historyczną. Wiadomo każdemu kto tylko miał sposobność poznania pracowni fizycznych, że szkło roztopione a następnie rzucone do wody, rozpryskuje się na mnóstwo ułamków, z których każdy przyjmuje kształt gruszkowaty. Ułamki szkła w ten sposób hartowanego otrzymały nazwę *łez batawskich*. Każda taka łza jest niepospolitej wytrzymałości, opiera się wszelkiemu usiłowaniu dążącemu do jej rozbicia, a to dzięki swemu hartowi. Jeżeli jednak ułamiemy koniuszczek owej łzy, w mgnieniu oka całość rozpryśnie się w delikatny pyłek. Stal hartowana w wodzie zimnej, nabywa wielkiej mocy, ale przytem staje się łamliwą, przeciwnie stal hartowana w oliwie pozbywa się tej łamliwości.

Spostrzeżenia te doprowadziły p. Alfreda de la Bastie do wynalazku, który najniezawodniej odda nam wielkie usługi. Chcemy tu mówić o *szkle hartowanem*, nowy ten wyrób przedstawia siłę oporową pięćdziesiąt razy większą od szkła zwykłego.

Przejdźmy do ciekawych własności szkła p. Bastie. Poznaliśmy czem się ono różni od łez batawskich i stali. W jednym i drugim razie zasada jest taż sama z małą zmianą. Przed hartowaniem szkło wypala się w wysokiej temperaturze, i z łatwością przyjmuje wszelkie mu nadawane kształty. Manipulacyja do tego posługująca polega na zanurzaniu szkła w płynie mniej lub więcej złożonym, do któ-

rego głównie wchodzą ciała oleiste. Płyn powinien być przedtem ogrzany do bardzo wysokiej temperatury, z zachowaniem pewnych ostrożności, aby materyje jego składowe, przedstawiające materyjał palny nie zajęły się ogniem.

Szkło w tych warunkach hartowane nabywa nowych wielce cennych własności. Spada ono naprzykład z wysokości 12 stóp i nie tłucze się wcale. Szkło zegarkowe zahartowane metodą p. Bastie druzgotało się pod obcasem buta dopiero wówczas, gdy uderzenia następowały szybko i z wielką siłą. Na wpływ ognia szkło to nie mniej jest wytrzymałem a co więcej przedstawia pewien stopień sprężystości. Cienka blaszka szklanna w niedługim czasie daje się w łuk z łatwością wyginać. Przejdźmy do wad przypisywanych nowemu wynalazkowi. Utrzymywano że szkło hartowane pociągnięte dyjamentem rozpryskuje się w pył w jednej chwili podobnie jak łzy batawskie. Jest to wada istniejąca jedynie w wyobraźni nie zaś w rzeczywistości. Doświadczenia odbywane w Niemczech najwidoczniej okazały, że szkło takie można bezpiecznie narzynać dyjamentem. Drugim zarzutem jest ten, że szkło hartowane nie posiada przezroczystości, że nie jest jednostajnem. Jakkolwiek są to rzeczywiste wady, nie powinniśmy zapominać że wynalazek p. Bastie jest pierwszą dopiero próbą, a tem samem nie ma prawie żadnej wątpliwości że w niedługim czasie ulepszonym zostanie. Najważniejszym zarzutem stawianym szkłu hartowanemu jest jego bardzo wysoka cena, która przecież długo w obec potrzeby pozyskania tak szacownego nabytku, utrzymać się nie może. Zresztą patent wynalazku zapewnia obecnie tę wysoką cenę p. Bastie, która wszakże po upływie kilku lat nie będzie już obowięzywać. Szkło hartowane posługiwać może do najrozmaitszych użytków. Nie tylko wszelkiego rodzaju naczynia będą z niego pożądane jako zapewniające trwałość, ale nadto da się zastosować do dachów w oranżeryjach, oszklenia altan ogrodowych, drzwi i wielu innych przedmiotów wyrabianych dziś z drzewa i metalów. Za lat kilka będziemy mogli ocenić korzyści jakie przemysł odniesie z wynalazku p. Bastie.

Nauka prawie z każdym dniem dokonywa odkryć zdumiewających. Niedawno wynaleziono sposób zdejmowania fotografii w porze nocnej, za pomocą sztucznego światła, a mianowicie palącego się siarku węgla w tlenku azotu, obecnie znów Spiller chemik angielski ogłosił, że takież samo światło można otrzymać rzucając kawałki siarki na saletrę stopioną w płaskiem naczyniu. Niedość na tem, p. Alfons Riche i Karol Bardy, wskazali środek jeszcze prostszy a mianowicie palenie siarki w tlenie. Światło stąd pozyskane zawiera jeszcze więcej promieni chemicznie działających, niż światło lampy siarkowęglowej. W manipulacyi tej kładzie się kawałek siarki na skorupie glinianej i zapala, utrzymując płomień strumieniem tlenu wypływającego z gazometru. Gdy zachodzi potrzeba odfotografowania grot podziemnych, tlen zanosi się tam w pęcherzu kauczukowym. W miejscach zamkniętych potrzeba zachować tę ostrożność aby dymy kwasu siarkowego, wielce dla płuc szkodliwe, uchodziły na zewnątrz stosownie urządzonym kominkiem ciągowym.

Pirsch Baudoin wynalazł obecnie stop (aliaż) naśladujący do złudzenia srebro. W skład tej kompozycyi wchodzą następne ciała w ustosunkowaniu przybliżonem. Miedzi 71, niklu $16\frac{1}{2}$, cynku 7, cyny $2\frac{1}{2}$, kobaltu $1\frac{3}{4}$, glinu $1\frac{1}{2}$ i żelaza $1\frac{1}{4}$.

Posiadamy proszek perski wygubiający wprawdzie robactwo, lecz nie zbyt tani, świat roślinny dostacza nam jednak więcej tego rodzaju specyfików daleko ekonomiczniejszych. Tak zwane Jastrunie gruntowe (pyrethrum roseum) krzewiące się w Persyi i Kaukazie i Bagno czyli rozmaryn leśny (Ledum palutre), pospolity na torfowiskach, równie skutecznie niszczą pasorzyty. Rozmaryn leśny jest rośliną odurzającą, młode jego gałązki przed zakwitem suszą się w cieniu, następnie proszkują na pył, a dalej postępuje się jak z proszkiem perskim. Roztwór kwasu karbolowego jest bezwątpienia równie dzielnym pomocnikiem w tępieniu dokuczliwych jestestw niepokojących nas w nocy.

Do najpraktyczniejszych lakierów czarnych należy wynaleziony przez p. Formhalsa, przetwór ten składa się 65 części 95% spirytusu, z 8 cz. bielonego szelaku, 8 cz. sadzy ultramarynowej, z 8 cz. sekatywy, 4 cz. palonego umbraunu niemieckiego, 4 cz. pumeksu szlamowanego i $\frac{1}{2}$ cz. błękitu paryskiego. Farby i pumeks mieszają się ze spirytusem, szelak zaś później się dodaje.

Gazeta lekarska podaje przepis na wyrób kumysu. Dla przyrządzenia jego bierze się pięć miar świeżego krowiego mleka, ćwierć funta cukru gronowego i świeżych drożdży objętości orzecha włoskiego. Miesza się to wszystko i ogrzewa na wolnym ogniu do 25 stopni. Po odstawieniu od ognia znowu ogrzewa się masę, następnie wlewa ją do szampanek na dwa palce poniżej szyjki i jak najszczelniej korkuje; przez dwa dni potrzeba flaszki co kwadrans dobrze skłócać. Jeżeli kumys jest dobry, to powinien pienić się jak woda sodowa.

W. N.

LISTY Z ZAGRANICY.

J. I. Kraszewskiego.

Życie i kronikarze. — Prace naszego wieku. — Każdy na swym zagonie. — Cywilizacyjne trudy. — Historyja. — Zbiór dawny Ukerta, ciąg dalszy. — Dr. Caro i inni. — Nowa historyja Niemiec i ich wymagania.—O Troi Schiemanna, odczyt D-ra Sybel.— Dzieje i podania.— Podręcznik biograficzny chiński, Mayersa. — Smok, fenix i żółw. — Liczby kabalistyczne. — Dzieła o Włoszech i Szwajcaryi illustrowane. — Komedyja węgierska z roku 1564.— Kwiaty w podaniach i dziejach Stratza.— Nowe pisma i wydania Laubego. — Powieści Hellera.— Opera narodowa w Londynie.—Mapleson. Nekrologija.—Gustaw von See (Struensee). — Krajobrazów malarz wiedeński Ender.

Cóżbym ja wam nowego i ciekawego mógł donieść, o czem byście już przy dzisiejszem rozpowszechnieniu tak szybkiem wszelkich wiadomości, jeszcze nie wiedzieli? Zadanie to bardzo trudne. Na skrzydłach telegrafów i na listkach dzienników, które para po świecie roznosi, lecą najświeższe nowiny, nie tylko polityczne, ale naukowe, nie tylko to co się jutro ma potwierdzić, ale co jutra nie dożyje, prawdy i fałsze, nauki i szyderstwa... Są to jednak po większej części suche fakty, których znaczenie bardzo rozmaicie tłómaczonem być może, z których jedni się smucą, cieszą drudzy, a o których jeden tylko Bóg wie, jaką mieć będą istotną wartość i wpływy. Ludzkość, choć sobie pochlebia że idzie świadoma do celu, najczęściej bezwiednie do niego dochodzi, drogami których nie przewidywała. Kronikarz patrzy na fenomena, i jak meteorolog, stara się je tłómaczyć, jak umie... To pewna że rzadko kiedy w dziejach, praca ludzka z takiem wytężeniem sił wszelkich, na wszelkiem polu, jakie zająć może, krzątała się jak dzisiaj. Spójrzmy tylko po świecie, co to za niezmordowany trud po wszystkich kątach. Podróżni, z niebezpieczeństwem życia, zwiedzają nowe kraje, nieustraszeni ofiarami jakie padły, tam gdzie oni idą, na śmierć prawie pewną i przewidzianą, przyrodoznawcy zamykają się po laboratoryjach, historycy w archiwach; codzień prawie zdobywa się jakaś wiedzy cząsteczka nowa, jakaś siła nieznana, czynnik nieużyty... nowe prawdy odsłaniają się oczom, jako stopnie do odkrycia jeszcze wyższych i jeszcze dalej sięgających... Przekonywamy się codzień, że odkryciom tym nie będzie nigdy końca i że praca bez spoczynku, jest zadaniem naszem.

Wiek nasz, bez wątpienia przygotuje materyjał obfity dla tych co po nim nastąpią, otworzy wiele dróg nowych, dotąd jednak brak mu ożywczej idei moralnej, coby łupy zdobyte, w całości spożyła i nadała im znaczenie. Materyjalnie postęp jest wielki, moralnie ledwie by na upadek nie przyszło narzekać, gdyby nas niepocieszało przekonanie, iż się ku lepszemu nawet przez gorsze, iść musi.

Ze spokojem więc ducha należy każdemu w swojej sferze pracować i cegiełki znosić...

...a całość sama się złoży!

jak mówił Brodziński.

Francyja dotknięta klęskami, odradza się pod biczem bożym, który ją wywiódł z zarozumiałej odrętwiałości. Włochy dobiwszy się samoistności i połączenia, pragną wskrzesić dawną swą duchową wielkość. Niemcy zwycięztwy, niespodzianemi może dla nich samych, czują się obowiązane do usprawiedliwienia ich cywilizacyją. Anglija nie chce upaść duchowo choć się zrzekła dawnej politycznej przewagi, nastatek narody słowiańskie czują że dla nich przyszła chwila czynnego też wystąpienia na widownię. Szlachetne współzawodnictwo ożywia wszystkich, choć często mniej szlachetnie i złośliwie się wyraża, przez usta namiętnych ludzi. Ruch ten ogólny śledzić, badać jego symptomy, śledzić zwroty, jest zaprawdę zajmującem.

Zacznijmy od najpoważniejszych prac historycznych. Na tem polu przybyło tyle nowego materyjału, tyle pojęć nowych, metoda sama badania uległa takim zmianom, że to co się historyją zwało, dziś zupełnie przerobionem, przelanem być musi... Przybyła cała epoka

przedhistoryczna, jako nowy okres dziejowy, który historyją właściwą łączy z dziejami kuli ziemskiej i zmian jakim ona ulegała. Historyja ludów dawnych obrabia się na nowo na podstawie pomników, jak assyryjskie, przez lat tysiące pokrytych ziemią i zapomnieniem. W zakres dziejów weszły sprawy i rzeczy, które dawniej ledwie zasługiwały na uwagę, a dziś za znaczące symptomata zwrotów, są uważane. Wszystko jest do przerobienia, począwszy od Chaldei, aż do... średniowiecznych powieści... Kopią więc jedni w Niniwie i Babylonie, drudzy na polach bajecznej Troi, inni w jeziorach, kryjących całą epokę nieznaną, a każdy dzień coś przynosi do wiedzy przeszłości.

Znakomity historyk Ukert, począł był dawniej na nowo zbiór dziejów pojedyńczych narodów, wydawać, obrobionych wedle nowych źródeł i metody. Później jednak, wydawca Perthes zawiesił dalszy ciąg rozpoczętych już dziejów i jakiś czas całe przedsiębierstwo spoczywało. Wskrzeszono je dziś i prof. W. v. Gieebrecht wziął na siebie kierunek ogólny. W sierpniu (końcu) zebrali się w Gotha współpracownicy, rozdzielono między siebie co pozostaje do wykonania, wydawnictwo żywo posuwa się dalej. Dwa tomy nowe wyszły w roku przeszłym, Dwa drugie są przygotowane i wkrótce się ukazać mają. Pomiędzy innemi prof. A. v. Reumont z Bonn, daje dzieje Toskanii, a G. Hertzberg z Halli, historyją Grecyi w czasach chrześcijańskich. Na rok 1876 zapowiedziane są jeszcze: dalsze ciągi obu tych dzieł (Grecyja doprowadzona do dni dzisiejszych), nowy tom profesora Caro, Stälina ze Stuttgartu, historyja Würtemberska, i K. Hilldebranda, najnowsze dzieje Francyi. Carlson ciągnie dalej szwedzką historyją do czasów Karola XII, a do nowszych doprowadzić ją ma C. F. Odhner z Lundu. Historyją Danii dopełnia doktor Dietrich Schäfer z Bremy, hiszpańską Fr. Schirrmacher (do końca średnich wieków). W dawniejszym zbiorze historyja Niemiec J. C. Pfistera wymagała i dopełnienia i nowego obrobienia, ale na to trudne zadanie (bo dzisiejszym wymaganiom Germanów dogodzić, z wielu względów nie będzie łatwem), jeszcze się nie znalazły odpowiednie siły. Wspominaliśmy nieraz w różnych korespondencyjach naszych, jak przesadzone są dziś żądania Niemców, nawet w pojęciach ich przeszłości, która w świetle nowych wypadków, cale im się teraz wydaje odmiennie; potrzeba śmiałego człowieka, któryby nawet z prawdą wziął się za bary, a apologiję napisał, coby zwycięzców zadowolniła.

Gdy mowa o dziejach, nie można pominąć ciekawej i pięknej rozprawy o odkryciach Dra Schliemanna, na polach Troi, przez Dra Ludwika v. Sybel. Autor przypomina tu nam, że dzieje polityczne i legendowe wcale nie są z prawdą historyczną zgodne i że genijusz wieszcza stworzył Troję bajeczną, której szukać byłoby naprożno... To co Dr. Schliemann szczęśliwie wynalazł, ma wcale inne według p. Sybel znaczenie. Tak samo jak na zwaliskach Troi, ludzie wszędzie przeszłość swą ubarwiali, przeistaczali. Dzieje pomięszały się z fikcyją, wyobraźnia na tle ich tworzyła-a dziś trudno niezmiernie wydzielić prawdę, od tego co ją przez długie wieki, zielonemi gałęźmi i kwiatami fantazyi okryło.

Do dzieł przynoszących materyjał historyczny nowy zaliczyć należy, bardzo ważny zbiorek biograficzny, tyczący się tak mało znanych jeszcze Chin, owego niebieskiego państwa, które w osamotnieniu wiekowem, miało czas rozwinąć się, zamrzeć i dojść do zgrzybiałości. Znany sinolog angielski Mayers, wydał właśnie w Szanghaï. *The chinese Readers manual.* Jest to pierwsze w tym rodzaju dzieło po zapomnianem dziś i niezmiernie rzadkiem, OO. Jezuitów, zawartem w *Memoires sur les Chinois*, w których wizerunki około sześćdziesięciu znakomitości się znajdują. Mayers jest daleko obfitszy i dokładniejszy. Oprócz biografij, jest tu z dawnych rozpraw, badań i chińskich wyciągów Mayersa kilka dodanych, wielce zajmujących. Do najdziwniejszych aberracyi w pojęciach doszli, jak tu widzimy, Chińczycy. Smok (Lung), którego widujemy wszędzie na wyrobach, na sukniach, na obrazach ich. wyraża u nich jakąś potęgę najwyższą, określoną w sposób właściwy. Smok jest ze zwierząt boskich najpotężniejszym, po nim idą dopiero Feng, coś nakształt feniksa, a naostatku Lin i Kwei, żółwie. „Żółw, wedle tradycyi chińskich, powiada Mayers, ma władzę wedle upodobania zmieniać postać, być niewidzialnym i ukazywać się widomie. Na wiosnę wznosi się aż w obłoki; w jesieni zagłębia w wodę. Kwan-tzi utrzymuje że może stać się tak małym jak jedwabnik i rozdąć się potem tak, że sobą całe niebiosa i ziemię wypełnia!“ Wszystkie te poczwarne zwierzęta grają w chińskiej mitologii rolę przeważną. Smok jest atrybutem najwyższej władzy na ziemi i tron władzcy niebieskiego państwa jest jego siedliskiem, a oblicze jego, obliczem smoka. Mniej może znaną od tych zasad, jest teoryja liczb, na której się opiera harmonija świata; tej Mayers poświęcił osobny dział w swym podręczniku. Liczby 5 — 8 — 3, są zasadą prawa budowy wszechrzeczy... Chińczycy wedle objawienia, rachują też najczęściej głównych przedmiotów po pięć, trzy i ośm; pięć żywiołów, pięć spraw, ośm zadań rządowych, pięć porządków, trzy cnoty i t. p. Filozofija chińska opiera się na takiej liczb kabalistyce... W końcu książki Mayersa są przedrukowane jego tablice chronologiczne, które już w roku 1867 ogłoszone były w rocznikach towarzystwa azyjatyckiego w Szanghaï. d. n.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kraków, 1 października 1875 r.

Zapomnieliście jakoś o staruszku Krakowie. Wprawdzie, pisma warszawskie nie skąpią szczegółów z życia tutejszego, ale nieszkodziłoby abyście i wy częściej rzucali okiem na ważniejsze przynajmniej objawy ruchu umysłowego, artystycznego, wreszcie handlowego i przemysłowego w naszym grodzie.

Przez długie lata Kraków uważany był za panteon tylko zabytków przeszłości, a chociaż nietroszczono się wcale o przechowanie tych zabytków, chociaż wiele z nich zaginęło, niemało dostało się w ręce niemieckie, a raczej pruskie, bo jak wiadomo Prusacy zabrali najkosztowniejsze sprzęty, drogocenne pamiątki i arcydzieła sztuki, ze skarbcu katedralnego na Wawelu, dość jednak pozostało aby nadać Krakowowi charakter starego grodu, którego odwieczne pamiątki, bo aż z czasów przedhistorycznych, i dziś wprawiają w zadziwienie turystę, zachwycają wielbicieli sztuk pięknych, wywołują głębsze studyja archeologa.

Rzeczpospolita krakowska niewiele się przyczyniła do rozwoju wewnętrznego życia miasta. Żyło się cicho, bez troski o jutro, bez pracy prawie, bo taniość była wielka, ludność zaledwie 10 tysięcy wynosiła! Handel i przemysł były w zupełnym upadku. Domy, jak np. na jednej z głównych ulic, Floryjańskiej, stały bez okien przez nikogo niezamieszkałe prawie. Główny rynek, dziś tak zdobiący miasto, był nie do przebycia, błocisko straszliwe, które i w lipcu nie wysychało, zalegało do koła Sukiennice, otoczone mnóstwem drewnianych chałup.

Przeobrażenie Krakowa datować trzeba od lat 15, kiedy się oczyścił i przyozdobił potrosze, a wiele rzeczy musiał na nowo tworzyć, bo, jak już wspomnieliśmy, owa rzeczpospolita niewiele zdziałała dla ulepszeń niezbędnych, dla wzrostu ludności, dla rozkrzewienia handlu. Najważniejsza zasługa rzeczypospolitéj to urządzenie plantacyj do koła miasta, prawdziwej ozdoby Krakowa, którą szczycić się może, a nie wiele miast w Europie mogą się pochlubić podobnem urządzeniem.

Ludność Krakowa od lat 10 zwiększać się zaczęła znakomicie. Brak mieszkań, a szczególnie wygodnych i po europejsku urządzonych dawał się czuć niezmiernie. Magistratura miejska, według nowych statutów, na mocy praw konstytucyjnych urządzona, dopomagała usilnie przedsiębiorcom i oto zaczęły się wznosić nowe gmachy, potworzyły się nowe ulice, przedmieścia rozsunęły się, a w miarę wzrostu ludności, którą już dziś na 50 przeszło tysięcy liczyć można, wzrastała i liczba nowych domów. Ale bodaj że największa ich liczba albo już stanęła, albo jest na dokończeniu, w roku bieżącym. Liczą ich do 150. W liczbie nowych gmachów znajdą się i prawdziwie piękne pod względem architektonicznym, wielkie i wspaniałe. Większość wszakże nie odznacza się starannością wykończenia, ściany cieniutkie, budują bez myśli o jutrze, a wypadki zapadnięcia jeszcze przed ukończeniem domu, powtarzają się dość często. Nieważając na coraz znaczniejszą ilość przybywających domów, mieszkania zawsze są w cenie i stosunkowo bodaj że droższe niż w Warszawie.

Przedsiębiorcy wznoszący nowe domy, są po największej części przybysze, czasowi mieszkańce Krakowa. Sam wzrost ludności pochodzi nie z Galicyi, nie z Krakowskiego, ale także z przybyszów z dalszych prowincyj. Jeśliby ci wszyscy wrócili do rodzinnej zagrody, nie wiemy zaprawdę ktoby zaludnił Kraków. Stąd życie obecne miasta nazywają sztucznem, nie mającem gruntownej podstawy na przyszłość. Kraków połączony sieciami kolei żelaznych z całym światem, nie produkuje jednak nic prawie własnego, coby go wzboga-

cało i dawało możność prowadzenia handlu zamiennego. Nie mamy zgoła fabryk, któreby wyrobami swoimi imponować mogły gdzieindziej. Rzemiosła w najopłakańszym stanie. Taniość na wszystko wielka, ale za to przedmioty nabyte, choć na pozór dobrze wyglądające, nie są długotrwałe. Przybywających do Krakowa wabi ta taniość, przekonywają się wszakże bardzo prędko, że lepiej jest w Warszawie zapłacić daleko drożej, a mieć materyjał dobry i gruntowny niż tutejsze tanie lichoty.

Bankructwa kupców z chrześcijan dość częste. Chrześcijanin kupiec nie wytrzymuje konkurencyi z żydem krakowskim. Bo też trzeba wiedzieć, że takich żydów, jak w Krakowie, żydów—łapserdaków, bodaj już nie ma już nigdzie na świecie. Ale taki łapserdak, który za 10 centów cały dzień z rodziną przeżyje, ma pełen trzos w kieszeni, a choć lichwa dobrze już jest znaną wszędzie i nie koniecznie pomiędzy żydami tylko, wszakże krakowscy żydzi doprowadzili ją do najwyższej potęgi, bo tu za 100, 120% jest rzeczą zwyczajną.

Trzeba oddać sprawiedliwość tutejszej magistraturze, że w żadnym jeszcze roku nietroszczono się tyle o wygodę mieszkańców i systematyczną niwelacyją miasta rozpoczęto w rozmaitych miejscach i kierunkach, bodaj czy nie poraz pierwszy od założenia Krakowa. W głównym rynku i na całej ulicy Szpitalnej, prowadzącej do dworca kolejowego, mamy już wyborne chodniki asfaltowe. W innych częściach miasta, gdzie już stanęły wspaniałe gmachy, z których wyszedłszy jeszcze na wiosnę tego roku, trzeba było brnąć po kolana w błocie, mamy już teraz wyborne trotuary. Są i takie ulice, z dobrze urządzonemi chodnikami i przeprowadzonym gościńcem bitym, przy których nie ma jeszcze ani jednego domu, nie ma nawet i kommunikacyi żadnej z innemi częściami miasta; ale to dla zachęty nowych przedsiębiorców, aby się budowali na przyległych do nowych ulic pustkowiach. Nie pomiarkowali jednak ojcowie miasta, że przez to ceny na place przy tych ulicach znacznie się podniosły. Brak wielki robotnika umiejętnego zapewne był przyczyną, że chociaż w kilkudziesięciu miejscach rozpoczęto niwelacyją i przeprowadzenie chodników, nigdzie prawie roboty w zupełności nie skończono. Zapewne, że niepodobna jednocześnie burzyć domy, regulować ulice i przeprowadzać chodniki. Dość, że się wzięto gorliwie do pracy i miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości połączenie dalszych części, przy których wzniesiono nowe domy, ze środkiem miasta, nastąpi niezawodnie.

Daleko systematyczniej prowadzi roboty około upiększenia i rozszerzenia naszych plantacyj Dr. Alek. Kremer. Roboty szybko postępują, a wykonanie nic do życzenia nie zostawia. Na wiosnę jeszcze odsłonięty został pomnik wzniesiony ze składek publicznych Straszewskiemu, jako głównemu przewódcy urządzenia przed laty plantacyj, na miejscu dawnych gruzów ściany obwodowej miejskiej.

Książę Czartoryski zamierza przenieść znaczną swą biblijotekę, zbiór rękopismów i muzeum zabytków do Krakowa. Dla umieszczenia tych zbiorów miasto odstąpiło księciu bramę Floryjańską z basztami i przyległemi zabudowaniami, należącemi do bardzo starożytnych. P. Bolesław Podczaszyński zrobił plan restauracyi tych zabudowań, do stosownego umieszczenia zbiorów naukowych. Plan ten jednak podobno odrzucony został przez księcia, który sprowadził na ten cel głośnego budowniczego z Paryża p. Violet le Duc. On tedy ma utworzyć nowy plan urządzenia odpowiedniego gmachu. Wątpić wszakże można, żeby i ta znakomitość zdołała coś dogodnego utworzyć z tych murów. Brama Floryjańska ze swojemi basztami i zabudowaniami stanowi drogocenny zabytek, który godzi się przechować od zagłady. Najstosowniejszém byłoby, jak to projektował professor Łepkowski, urządzenie tu muzeum miejskiego. Rzeczywiście, Kraków posiada ciekawe zabytki, znamionujące jego przeszłość odległą. Oprócz magistratu, każdy cech miejski posiada prastare, bardzo ciekawe buzdygany, buńczuki, buławy, chorągwie i inne przedmioty, jako godła rozmaitych urzędów i dostojności. Wszystko to leży dziś w ukryciu w gospodach cechowych. Jest jeszcze wiele ozdób i ornamentów, dużo starożytnych kafli z herbami, rozrzuconych po domach prywatnych. Zebranie i uporządkowanie tego rodzaju zabytków, z dodaniem jeszcze bardzo znacznej ilości starożytnych nadań, przywilejów królewskich i t. d. mogłoby utworzyć bogate muzeum, ciekawe i pouczające dla każdego, a miłe i cenne dla mieszczan krakowskich, którzy tak się szczycą swoją przeszłością. Brama Floryjańska z basztami byłaby zupełnie odpowiednią ku temu; lecz nigdy nie odpowie zadaniu, umieszczenia bogatych zbiorów ks. Czartoryjskiego, szczególnie, jeśli szanowny właściciel, jak tego spodziewać się można, zechce swoje zbiory zrobić przystępnemi dla każdego i w każdym czasie, jeśli urządzi stosowną czytelnię, w którejby życzący pracować mogli nie w pewnych tylko godzinach, jak to się dzieje w biblijotece Jagiellońskiej, ale dzień cały i wieczorami, kiedy pracujący mają najwięcej wolnego czasu. Dobrze poinformowane osoby mówią, że gdyby ks. Czartoryski taką samą summę, jakiej wymaga restauracyja tego gmachu i zakupienie domu pijarskiego przyległego, dla zburzenia go i otworzenia widoku, użyć zechciał na wzniesienie nowego domu w dogodnem miejscu, lub zakupienie i stosowne urządzenie jednego z większych domów w głównym rynku, — zbiory jego znalazłyby stosowniejsze, stokroć dogodniejsze dla publiczności pomieszczenie.

Pisma warszawskie szeroko pisały o projekcie restauracyi starożytnych Sukiennic w Krakowie podług planu p. Prylińskiego. Plan ten potwierdzony został w ten sposób, że uchwalony w zasadzie — wymagał zupełnego przerobienia. Otóż z powodu restauracyi Sukiennic i owego planu p. Prylińskiego, opowiadają taką anegdotę: gdy wspomniany przez nas pan Violet le Duc obejrzał plan, oraz dwa wielkie doły wykopane już na wapno, zrobił złośliwą uwagę, że dwa doły to za wiele, bo jeden byłby dostateczny, ażeby do niego włożyć plan Prylińskiego i napowrót ziemią zasypać. Bądź co bądź, ale po pięcioletniej gadaninie, naradach i projektach, podobno na seryjo myślą przystąpić do odbudowania Sukiennic, gdyż oprócz owych dołów na wapno, już jedna strona Sukiennic deskami odgrodzona, już nawet i szopy wzniesiono dla robotników i na składy materyjałów. Kto był choć raz w Krakowie ten się zgodzi, jak ważnem jest odbudowanie Sukiennic dla ozdoby, a może i wygody miasta.

Do największych i wspaniałych gmachów w Krakowie, należy pałac biskupów krakowskich. W pamiętnym wielkim pożarze Krakowa spłonął i ten pałac, a od tego czasu stoi i do dziś dnia ruderą, nieużyteczną nikomu i szpecącą miasto. W jednem tylko skrzydle mieści się wystawa sztuk pięknych. Lokal ten wyporządzony został własnym kosztem towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Dawno już znikły bogactwa niezmierne biskupów krakowskich, a od lat wielu nie ma i samego biskupa, administrator zaś rządzący dyecezyją mieści się w prywatnem najętem mieszkaniu. Rudera owa jest własnością rządu. Otóż obecnie prezydent miasta Dr. Zyblikiewicz przedsięwziął krok energiczny i stanowczy: na mocy prawa jakie mu przysługuje czuwania nad gmachami w mieście, aby były w stanie przyzwoitym i niebezpieczeństwem nikomu nie zagrażały, zawezwał odpowiednie władze rządowe aby się zajęły restauracyją tego pałacu, w przeciwnym bowiem razie miasto zmuszonem będzie uznać ten pałac za opuszczoną ruderę i przystąpić do rozebrania go.

S. L.

BEETHOVEN.

Fantastyczna charakterystyka.

Poświęcona wszystkim miłośnikom muzyki i wielbicielom wielkiego męża,

przez

Ernesta Ortlepp.

Przełożył z niemieckiego

H. B.

(Ciąg dalszy.)

II.

Dziewiąta symfonia Beethovena.

I.

Spacer.

Pewnego pięknego wiosennego wieczoru, szedł samotnie przez pola człowiek, już w pewnym będący wieku. Często zatrzymywał się on w zamyśleniu, czasami siadał, opuszczając głowę na piersi i gubiąc się w marzeniach o dawno minionych pięknych czasach. Dusza jego była przepełnioną niewypowiedzanym smutkiem; jeszcze raz westchnął za tem wszystkiem, czego nigdy nie posiadał, i dwie jasne łzy stoczyły się po jego policzkach. Jego serce było tak smutnem, a świat tak pięknym; wieczór był tak różowo rozpromienionym, a cała ziemia zieleniła się i kwitła... Wszystko w około tchnęło życiem, wrzało i świeciło radością; ale on był smutnym bardzo. Już całe lata upłynęły od czasu gdy po raz ostatni słyszał był głosy swych ulubieńców: słowika i kukułki; w około niego, powietrze drgało tysiącem wesołych pieśni, ale jego ucho muzykalne było zamkniętem dla wszelkiego dźwięku. I wtenczas to uczuł się zupełnie wyłączonym z wszelkiej radości, przepełniającej całe stworzenie, uczuł się samo-

tnym i odosobnionym, jakby wcale nie należał do ludzi, którzy ani pojmowali jego wewnętrznych roskoszy, ani też zważali na jego ból.

Stanęła mu przed oczami duszy jego luba, która go zapomniała, i jego serce na nowo się rozdarło. Wspomniał przyjaciół swoich...... i nieprzyjaciół, którzy mu boleśnie dokuczyli; widział w duchu wszystkich tych możnych i bogatych, którzy nie umiejąc go zrozumieć, obojętnie i dumnie go omijali lub mu się z ciekawością przyglądali.... Spojrzał na miasto, które nie umiało ocenić jego dzieł. Wtenczas owładnęła nim głęboka niechęć. Nienawiść i wściekłość pomieszały nieharmonijnie wszystkie jego łagodniejsze uczucia: ścisnął pięści, przekleństwa zawisły na jego ustach, i jego pierś, zwykle przepełniona słodyczą i miłością, zaczęła się wzdymać i wrzeć jak wulkan, brzemienny zniszczeniem i zagładą.

Pomyślał o swej młodości, gdy jego surowy ojciec zamykał go do ciemnej komory, ale również stanęła mu w pamięci jego czuła matka, i na jej wspomnienie, jakby niebiański promień oświecił ciemności, otaczające jego duszę. I wróciły mu w duchu wszystkie te godziny, gdy przeczuwając przyszłą swą wielkość, zapoznany i nie widziany przez nikogo, gorzko płakał w swoim kąciku, walcząc z roz strojem myśli. Ale uśmiechająca się zorza wieczorna opowiadała mu także o wszystkich tych pięknych chwilach, gdy niesiony na skrzydłach artystycznego zapału, wzbijał się wysoko po nad pył ziemskiej świetności i znikomej nędzy.

Widział on w duchu, postacie swych prześladowców, jak z ironicznym uśmiechem przesuwały się obok niego, i słyszał jak szeptały sobie o tem, co on miał w sobie najświętszego i boskiego: „to zupełne nic!“

Ale tuż obok znów, ujrzał miły i przychylnie uśmiechający się obraz „ojca Haydna,“ i serce mu stopniało w słodkiem uczuciu.

I pogrążył się głęboko w sny słodkie; wyobraźnia rysowała mu mnóstwo miłych obrazów. Gdy podniósł w górę oczy, ha! zaprawdę, to nie była mara: rozjaśniony blaskiem pysznego światła wieczornego, stał przed nim „ojciec Haydn,“ i patrzył na niego okiem pełnem miłości i współczucia.

— Czyliż to ty spuszczasz się do mnie z sfer wyższych? rzekł Beethoven do otoczonej niebiańską aureolą postaci. Czy zbliżasz się do mnie aby mnie odwołać do owej krainy, do której już od dawna wzdycha moja zmęczona i rozdarta dusza? Czyliż ty jesteś zwiastunem mej śmierci, zesłanym w postaci ukochanego i czcigodnego przyjaciela, aby miękką ręką zdjąć z mej zbolałej skroni cierniową koronę, której kolce zawsze mi przebijały mój wieniec laurowy?

— Mój ty biedny, dobry, zacny i świetny Beethovenie, odparł Haydn z łagodnym uśmiechem, dla czego jesteś tak smutnym? A gdybym też był prorokiem, zwiastującym ci twoją śmierć. Spojrzyj na mnie i na moją wieczną pogodę! Czyliżbyś nie poszedł chętnie za mną? Czyliż nie dosięgnąłeś już celu swego, celu, przed którym znika wszelka ziemska świetność? Czy nie pamiętasz słów, które ci niegdyś powiedziałem: „gdybym jeszcze raz mógł zacząć, stworzyłbym zupełnie inne, nierównie większe dzieła; *to dla ciebie pozostało!*“ Moja przepowiednia ziściła się, i teraz z dumą możesz wejść do wyższej nieśmiertelności, gdzie ozdobi cię wieniec bez żadnych cierni!

— Jeszcze jedno mam na sercu, rzekł smutnie Beethoven. Nie mogę spokojnie opuścić tego świata bez wyśpiewania, mej *pieśni łabędziej;* wiem, że w niej wyczerpię swe siły, ale też potem spokojnie umrę!

— To ci jest przeznaczonem, odparł Haydn z uroczystą powagą. Oznajmiam ci, że nie doczekasz przyszłej wiosny, ale potem będziesz mieszkał ponad gwiazdami, i z zachwyceniem będziesz przysłuchiwał się swym własnym symfonijom, których zamknięte twe ucho już dawno nie słyszało; usłyszysz wtenczas melodyjne tony nadziemskiej mowy, tak jak mnie teraz słyszysz!

— O, jakaż to roskosz! zawołał Beethoven, że w tej chwili, jakby przez wyższą siłę, słyszę dźwięk twej mowy. Pomyśl drogi przyjacielu, czy mogło mnie *spotkać coś gorszego?* O, daj mi odpowiedź, czy rzeczywiście uda mi się wyśpiewać moję pieśń łabędzią, zanim umrę?

— Wyśpiewasz ją, odpowiedział Haydn, i jeszcze po tysiącach lat, dźwięczyć ona będzie. Przynoszę ci do tego siłę i uświęcenie z nieba, aby ten ostatni twój utwór zawarł w sobie wszystko, co jeszcze spoczywa niewypowiedzianem na dnie twojej duszy, aby tenże był obrazem twej istoty. Będzie to utwór, z początku zapoznany i potępiony, potem przeczuty i podziwiany, następnie zrozumiany i umiłowany, a w końcu uwielbiony i sławiony po wszystkie wieki.

A teraz zechciej przyjąć me pożegnanie, i do widzenia!

Tajemnicza postać znikła. Czy była ona tylko utworem wyobraźni samotnego wędrowca, czy też rzeczywistością?....

Nagle Beethoven poczuł w sobie, że jego twórczy genijusz obudził się jakby z głębokiego snu; wzrok jego dziko i fantastycznie zaczął krążyć po sklepieniu niebios, duszę rozświecały błyskawice, cała istota wrzała chaotycznie. Wyrwał on z zanadrza kawał nutowego papieru i napisał figurę z kwint, w szóstkach z *A* moll: wyraz bojaźliwego oczekiwania i drżącego naprężenia.

— A więc znowu ponuro! zawołał. Wszakże chciałem śpiewać o radości, która zwyciężyła smutek. A jednak czuję, że to jest właściwy, długo szukany początek!

Spojrzał z boleścią na kartkę i schował ją do innych, które już był dziś, podczas przechadzki w otwartem polu, wzbogacił nie jedną piękną myślą. Nagle wstrząsł się pod wpływem silnego wzruszenia i padł na kolana, splótł gwałtownie ręce, podniósł zwilgotniałe oczy ku niebu i zawołał:

— O! słuchu! tylko na kilka chwil jeszcze słuchu! Inaczej nic nie będę mógł utworzyć. Błagam Cię Stwórco, wysłuchaj tylko jeszcze tej prośby mojej i dozwól, abym choć tylko na chwil kilka mógł usłyszeć głos wiosny!

I usłyszał głos wiosny. Wśród zachwytu, chciał podnieść się, ale nie zdołał tego uczynić pod wpływem wzruszenia, i dla tego pozostał w postaci modlącego się, na kolanach.

I słyszał miły szum drzew koło siebie, słyszał śpiew skowronka, unoszącego się na wysokościach, i śpiew słowika w gęstwinie, i wołanie kukułki z pod lasu; słyszał szmer strumyka, i szum wodospadu, i grzmot odległej burzy, i brzęczenie żuków, i klarynet pastuszka, grającego pieśń....

„Raduj się wielce duszo moja!“

Z cicha. i klęcząc ciągle, zaczął on wtórować pieśni, i łzy trysnęły z jego oczu.

Wszystko koło niego tchnęło i dźwięczało tajemniczem, wszechpotężnem życiem wiosny i radośną, twórczą siłą. Nastąpiło rozwiązanie zagadki, o którą kłopotał się w gorączkowem szukaniu: *Wielki hymn radości* był znalezionym.

Ale ta piękna chwila szybko przeminęła. Melodyje wielkiej muzyki natury przebrzmiały, odzywając się w jego uchu coraz słabszem echem; potem wróciła znów ogołocona z wszelkiej barwy, smutna głuchota, i wszystko w około niego, było niemem i martwem....

II

Noc.

Już panowała zupełna cisza na ulicach miasta, gdy Beethoven w swoim pokoju, wielkiemi krokami samotnie się przechadzał. Lampa, przy fantastycznym blasku której, już tyle utworów wyszło z pod jego pióra, paliła się na stole; przy niej leżał arkusz nutowego papieru; piękny fortepijan, podarunek przysłany z Anglii, na którym Beethoven dopiero co był improwizował — niestety, bez słyszenia ani jednego tonu, — stał jeszcze otwarty. Zewnętrzny świat mistrza się ożywił; odczytał on był dziś znowu w Hoffmana „Fantazyjach“ pochwałę swej *C* moll symfonii; ach! uznanie tak bardzo potęguje siłę artysty!

Przez wiele dni przedtem, męczyła go jakaś obawa i wewnętrzna boleść. Czarne upiory, brzydkie poczwary prześladowały go bez ustanku i miotały nim po labiryncie wściekłych dysharmonii. Ale teraz unosił się on po nad niemi; czuł, że zapanował nad piekielnemi duchami; czuł, że może je teraz dowolnie przyzywać, że już nie mają władzy nad jego wolną, tryumfującą duszą.

Beethoven, zazwyczaj z pewną obawą przystępował do każdego nowego dzieła; i teraz wahał się on jeszcze; ale zapał coraz więcej go ogarniał, a starsza siostra tegoż, rozwaga, uroczo mu się uśmiechała. Rdzeń wszystkich dotychczasowych jego dzieł zaczął się w nim odżywiać; wszystkie jego dążności od lat najmłodszych: jego zapał artystyczny i wewnętrzne męczarnie, jego całe istnienie w zupełnie nowem okazały się świetle; wszystkie jego samotne i fantastyczne przechadzki stanęły mu przed oczami duszy, wszystkie marzenia uśmiechały się do niego; dawno pogrzebane nadzieje powstawały z grobów, jakby postacie z blademi twarzami, i wskazywały ku gwiazdom; pełne męczarni noce, pogodne dnie wiosenne, szalone burze, złociste obłoki wieczorne, jasne zorze poranne, srebrzyste mroki księżycowe, piekielne poczwary, cudne anielskie postacie, tańce umarłych o północy, straszne sklepienia grobowe, kwieciste łąki,

czarne otchłanie, niebotyczne góry, mroźne zimy, skwarne lata z odświeżającemi wieczorami, monotonne pustynie, uśmiechające się doliny i pagórki, przyjaciele, którzy dostali pomieszania zmysłów, pogrzebani nieprzyjaciele, pola bitwy pokryte trupami, weseli kmiotkowie w żywym tańcu, przeklęci piekła, zbawieni niebios, — wszystko to przemknęło przed nim. Jak szybko po sobie następujące gromy, tak krzyżowały się dziko te fantastyczne obrazy.

Już oddawna przed nim leżała otwarta książka, a w niej Schillerowska „Oda do radości,“ i jego genijusz mu powiedział, że ona stanowić będzie tło do jego „pieśni łabędziej;“ ale idea całości, dotąd jeszcze nie wystąpiła z mroku przeczucia. Nie chciał on być naśladowcą poety; zamiarem jego było stworzyć coś oryginalnego.

Jak w ogóle dzieła sztuki noszą na sobie zazwyczaj piętno epoki życia, w której je autor tworzył, tak też i tu się stało. Często Beethoven naśmiewał się sam z siebie:

— Pisać „Odę do radości!“ i to w czasach twojego smutku, kiedy byłoby ci łatwiej skomponować satyrę na wszelkie radośne uczucia? Z duszą przepełnioną rozstrojem, zgryzotą i nienawiścią ku ludziom, ty? tworzyć „Odę do radości,“ gdy jesteś bliskim zwaryjowania z rozpaczy!

Tu, za poszeptem ducha sprzeciwieństwa, przyszła mu myśl napisania *takiego* dzieła, nad którem muzycy napróżnoby łamali sobie głowy, dzieło naszpikowane takiemi trudnościami, że ono nie dałoby się wcale wykonać, albo, gdyby się kto wziął do niego, brzmiałoby okropnie.

Ale teraz, takie myśli wydały mu się niedorzecznemi; jasno już zarysowała się idea całości, do której śmiało mógł wpleść tego rodzaju kaprysy, jako cieniowanie: postanowił bowiem odmalować „wyradzanie się radości z łona rozpaczy.“

Radość i rozpacz miały tu stoczyć walkę na życie i śmierć, ale w końcu miała zwyciężyć radość; przyczem miała mu się nastręczyć sposobność wylania całej swej duszy.

Nie chciał on przytem wcale zwracać uwagi na sąd publiczności: chciał *dać* samego siebie i puścić swobodnie wodze swemu genijuszowi w całej jego boskości i całej dziwaczności, gdyż, pomyślał sobie: mistrz, który przez całe swe życie starał się o to, aby świat zachwycić, może też przecie raz zażądać od świata, aby tenże postarał się go pojąć i zrozumieć.

— Tak! zawołał on, teraz, zanim umrę, niechaj się dowiedzą, co mi ciążyło na sercu; odmaluję im w olbrzymich zarysach wielką walkę bólu i radości wszechświata, i chociaż z moich tonów owionie ich moja własna boleść, to niechże zobaczą, że umiem wznieść się zwycięzko ponad ziemską nędzę, podobny do sterczącego wysoko ku niebu kolosu.

I teraz zaczęły się do niego tłoczyć wszystkie instrumenty, każdy ze swą charakterystyczną cechą i barwą, aby pomagać mu przy malowaniu wielkiego obrazu: wesoły, błękitny *flet*, zuchwały jasno-blond *klarynet*, pochlebiający, mruczący, ciemno-brunatny *fagot*, miękka, cienista, zielona *waltornia*, wojownicza, jaskrawo-czerwona *trąbka*, religijny, zmarłych wskrzeszający *puzon*, tkliwe, tęczowe *skrzypce*, żałośna, modra *viola*, tęskna, łagodna, fioletowa *wiolonczela*, przejmujący, purpurowy *obój*, wonny, ciemno-goździkowy *rożek*, potężnie dominujący ciemno-czarny *violon*, romantyczny, cygańsko-brunatny *tryangul*, jasno-grzmiące *dzele*, gniewliwe, piorunujące, burzliwe *kotły*, — wszystkie one dźwięczały mu nad wewnętrznem uchem, które nie dzieliło losu jego ucha zewnętrznego, i już słyszał w pełnej ich zgodności całą symfoniją.

Od niejakiegoś czasu prześladował go, jakby sztylety, noże i szpilki, cały zastęp nieprzyjaznych kwint; w którąkolwiek zwrócił się stronę, groziły mu one ciągle i powiększały strach jego duszy. Zaklął je tedy w nuty, i wystąpił przeciwko nim uzbrojony mieczem błyszczących akordów z *D* moll; ale nawet ten jego heroizm, był tylko zwycięztwem większego smutku nad mniejszym. Kwinty to spostrzegły i wróciły do nowego napadu. Wtenczas anioł przyłożył mu kwiaty do zranionego serca i szeptał słowa pociechy. Coraz więcej ogarniał go słodki czar; w końcu radość doszła do zupełnego wybuchu.

Ale niestety! duchy utrapienia bez ustanku wracały. Wprawdzie, przebłyskiwało też znowu *słodkie* cierpienie z niebiańskiem płaczącem obliczem, ale ponura namiętność, pomarszczona troska, chuda i wyżółkła zazdrość, zielono-oka zawiść, blada, skurczona obmowa, zezowata, jadowita nienawiść, niema rozpacz i wszystkie furyje nocy sprzysięgły się na tego męża łagodnego serca. Ha! i anioł z kwiatami wzrósł wysoko i stanął długim, bladym, olbrzymim upiorem, z wieńcem słomianym na głowie: było to dobrze znane widmo *obłąkania*. Z szyderskim uśmiechem, wytrzeszczając zęby, spojrzało ono na niego, mówiąc: „i ja chcę wziąć udział w twojej robocie!“

Nasz muzykalny czarodziej wzniósł w górę oczy: cały pokój był przepełniony dobremi i złemi duchami. Dyjabeł zbliżył się do niego i chciał mu pomódz, o cenę duszy, obiecując, że to będzie dzieło odurzające zmysły. Karły wychylały z kątów swe długie nosy i opowiadały o skarbach, które przecie mógłby potrzebować i bez trudu zdobyć. Ale on stawiał szybko krzyżyk po krzyżyku pomiędzy nuty, i przestraszone tem złe duchy musiały się cofnąć.

Wtem zbliżyły się do niego dwie siostry; jedna z nich była w czarnej sukni i z czarną zasłoną na twarzy, blada jak trup i zapłakana. Trzymała ona sztylet w ręku i przeszywała sobie nim ciągle piersi, nie mogąc jednak umrzeć, albo raczej, była już umarłą, choć jeszcze żyła. Druga z nich była przyodziana w różnobarwne szaty, ozdobiona różami, wesoła, śpiewająca, o niebieskich oczach i złocistych lokach. Wszystko w niej tchnęło życiem, a jednak dla *niego*, była ona martwą i jakby dawno pogrzebaną.

Obiedwie zaczęły walczyć o niego; każda z nich chciała go do tamtego świata zaprowadzić. Szczególne! Wesołą, przestał on kochać, a do umarłej, serce go ciągnęło. Obie pomagały mu pisać nuty.

Zbliżyła się inna postać i rzekła:

— Zostawcie go, moje córki, ty *zgryzoto* i ty *radości*; ja, wasz ojciec, łączę w sobie wasze istoty, i dopomogę memu przyjacielowi.

Tak mówił trochę przygarbiony staruszek o nieregularnych ale bardzo zajmujących, z *Gis* moll i *H* dur pomieszanych rysach, który w swem spojrzeniu wiele miał podobieństwa do „ojca Haydna“ i do Sterna. Usiadł on przy Beethovenie na zwykłem swem miejscu i opowiadał o schadzce jaką sobie naznaczyła konwalijaze skowronkiem, o nowym zwiększonym akordzie, którego wziął był za policyjanta, o maskaradach, jakie sobie umarli wyprawiają na cmentarzu w M * *, że ten cmentarz to właściwie jest salon balowy w X * *, oraz, że ci zmarli, prawdę powiedziawszy, są żywymi ludźmi, okazującymi szczególniejszą tęsknotę do suchot i do trumny; dalej opowiadał o nowowynalezionych pistoletach, grających zaraz po wystrzale najcudniejsze melodyje, o instrumentach muzycznych, które zarazem są klawikordami, kalendarzami i zegarkami, na których w kilku chwilach można zagrać się na śmierć, że przy uderzeniu dwadzieścia razy kreślonego *C* (t.j. najwyższego tonu), człowiekowi tchu brakuje, i tenże lekko tkniętym zostaje apopleksyją, o estetycznych zebraniach chrabąszczy, gdzie np. wczoraj bąk, komar i młodziutki chrabąszcz, w wysokim stopniu genijalny wirtuoz, po mistrzowsku odegrali ostatnie „Trio“ Beethovena, i tym podobne banialuki.

— O, jakże rad jestem, żeś mi przyszedł w porę, rzekł Beethoven. Potrzebuję cię teraz. Patrz, tam jest most, przez który żadną miarą przedostać się nie mogę, tyle tam jest natłoczonych nieprzyjaznych mi istot. Ale z tobą, to mi się uda. Po tamtej stronie, powita mnie kraina szczęśliwych. Proszę cię, prowadź mnie.

— Racz waszmość tylko palnąć *oktawami* w nieprzyjaciół; wszyscy muszą drapnąć do dyjabła, i dla waszmości niebo stanie otworem! zawołał *humor*.

Tak powstało *scherzo*. Już zaczęło świtać. Beethoven przestał pracować.

Tak przesiedział on jeszcze nie jedną noc. Często jego dusza miotała się w nim konwulsyjnie, w cierpieniach, podobnych do tych, jakich doznawały nieszczęśliwe ofiary we wnętrzu byka Phalarisa. Ale bywały też i chwile niebiańskiego zachwycenia.

Najszczęśliwszym czuł się jednak przy tworzeniu ostatniego ustępu symfonii, gdy przy choralnym temacie przypomniał sobie klarynet pastuszka, którego głos się rozlegał, gdy w owym cudnym wieczorze wiosennym, modląc się i leżąc na kolanach, usłyszał na chwil kilka wielki hymn wszechświata.

Dzieło, szczęśliwie było ukończonem. Ale nikomu nie chciało się ono podobać, a najwięcej krytykowali go jego najlepsi przyjaciele. Jemu było to jednak obojętnem; zdawało mu się, że utwor ten jest jego największym i najlepszym. Mógł zatem spokojnie umrzeć, co też stało się dnia 27 marca 1827 r. Obie siostry: owa blada z czarną krepą i druga wesoła, z wieńcem różanym, stanęły przy jego łożu śmiertelnem i przeprowadziły go do krainy, którą tak często opiewał w swych tonach.

(d. n.)

ZŁOTA BRAMA w KIJOWIE.

Drzeworyt pomieszczony na tytułowej karcie dzisiejszego numeru Opiekuna wyobraża szczątki murów „Bramy złotej“ w Kijowie. Brama ta jak wiadomo wiąże się z dziejami Bolesława Chrobrego, który w wyprawie przeciw Jarosławowi oblegał Kijów 1018 r.

W r. 1038 Jarosław na Złotej bramie zbudował był cerkiew pod wezwaniem: Zwiastowania“ a do roku 1699 zachowywał się tu starożytny obraz Matki Boskiej Kazańskiej, przeniesiony następnie do staro-kijowskiej Troickiej cerkwi. Obraz ten w wielkiej był czci mieszkańców kijowskich a jak się kronikarz tego grodu wyraża, po umieszczeniu go na „Złotej Bramie,“ zewsząd stąd radość i błogie wieści płynęły, za powodem modlitw Przenajświętszej Boga-Rodzicy i świętego archanioła Gabryjela, posłannika radości i szczęścia.

Dwa poprzeczne pręty jakie widać na rysunku pomiędzy dwoma ścianami, są to dwie grube sztaby żelazne, jakiemi w r. 1832 wzmocniono wierzch bramy; spód zaś jej w tym samym roku wzmocnionym został ceglanemi skarpami.

Szlachcic z gub. Kijowskiej w podróży.

Rysunek przedstawia zamożnego obywatela z gubernii Kijowskiej, przejeżdżającego przez ulicę małego miasteczka. Otulony w bundę, z kapturem na głowie a lulką-towarzyszką w ustach, zamyślił się szlachcic o interesie który go w czas brzydki i pomimo jesiennych roztopów wypędził w podróż daleką.... A znać to wielkiej wagi interes, bo czwórka dzielnych ukraińskich karoszów, kierowana wprawną ręką domorosłego forysia, pędzi co sił starczy rozbryzgując kopytami dokoła błoto. Wychodzący z miasteczka za handlem żydek, spostrzegłszy znajomego mu *jasnego pana*, wita go z widocznem ukontentowaniem, zginając się z ukłonem ku ziemi. Rysunek jak już położony pod nim podpis objaśnił czytelnika, wykonanym został przez znanego zaszczytnie naszego artystę malarza, p. J. Chełmońskiego.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XIII.

Dyjetetyczne przepisy dla osób otyłych.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Około 50-go roku życia, a niekiedy o kilka lat wcześniej, u bardzo wielu osób, zwłaszcza prowadzących życie spokojne i przyjemne, zaczyna się odkładać coraz większa ilość tłuszczu (szczególniej do tkanki łącznej czyli komórkowej), przez co grubieją one, albo, jak to mówią, nabierają tuszy. Pełność ta ciała, odpowiadająca dojrzalszemu wiekowi i połączona zazwyczaj z zamiłowaniem wygód oraz spokoju, może być uważana za zupełnie normalne zjawisko, jeśli nie rozwija się zbyt szybko i nie czyni człowieka podobnym do bezkształtnej massy.

Co innego całkiem jest *otyłość*. Powstaje ona już za młodu, czasami bardzo prędko i nadaje ciału potworną postać grubości; nie dość na tem, może ona spowodować mnóstwo cierpień, a nawet o śmierć przyprawić (w skutek udaru mózgowego czyli apopleksyi). Dla tego też człowiek otyły, jeśli pragnie zachować swą piękność, zdrowie oraz długie życie, powinien starać się, nie tylko o usunięcie nadmiernego tłuszczu, lecz nadto, po dopięciu rzeczonego celu, o powstrzymanie odkładania się nowych, zbytecznych mass tłuszczowych. Lecz usunięcie to tłuszczu, ma się odbywać zwolna i stopniowo, o czem zawsze pamiętać należy, gdyż szybkie i w krótkim czasie pozbycie się tłuszczu, może sprowadzić zaburzenia, groźne dla zdrowia, a nawet i życia (udar mózgowy). Z drugiej strony, nie trzeba bynajmniej wyłączać z użycia wszelkich niżej wymienionych tłuszczów i materyj do tłuszczów podobnych, albowiem są one rzeczywiście niezbędne do odżywiania narzędzi naszego ciała, oraz do wywiązywania w niem odpowiedniego ciepła; przy tem, poprzestawiane na samych tylko pokarmach białkowatych (mięso), nie zawierających tłuszczu, może narazić na inne cierpienia (np. naadnę czyli podagrę).

Przeciwko dwom, przytoczonym dopiero co przepisom, bardzo często grzeszą osoby, postępujące ślepo według metody leczenia otyłości, podanej przez Bantinga; tym sposobem, sprowadzają one sobie różnorodne, niekiedy nawet niebezpieczne choroby, pomijając już to, że skóra ich, w skutek szybkiej utraty tłuszczu, staje się strasznie pomarszczoną. Kto więc chce pozbyć się nadmiernego tłuszczu, niech zachowuje następujące przepisy dyjetetyczne:

Zmniejszenie okładania się tłuszczu można osiągnąć:

1) Przez umiarkowane użycie tłuszczów, oraz

2) Materyj do tłuszczów podobnych czyli tłuszcz tworzących.

Powstrzymanie odkładania się tłuszczu ze krwi daje się osiągnąć:

3) Przez odpowiedni ruch (pracę fizyczną), oraz

4) Pobudzenie krążenia krwi i sprawy oddychania.

Usunięcie nadmiernego tłuszczu można osiągnąć:

5) W części, przez prędsze spalenie za pomocą wdychania znacznej ilości tlenu;

6) W części zaś, przez pobudzenie obiegu bogatej w tłuszcz krwi, za pomocą stosownego ruchu, głębokiego wdychania i obfitego użycia wody.

Co do 1-go i 2-go) Dla osób otyłych pożytecznym jest jedynie pokarm, zawierający bardzo mało tłuszczu i materyj do tłuszczu podobnych (tak zwanych materyj bezazotowych, wodanów węgla), oraz znaczną ilość materyj białkowatych (t. z. materyj azotowych).

Do tłuszczów należą: tłuszcz zwierzęcy (szmalec i łój), masło, żółtko z jaj, szpik z kości, tran rybi i wątrobowy, oleje tłuste.

Do materyj podobnych do tłuszczów (wodany węgla), które używamy z innemi materyjami pokarmowemi i które wewnątrz naszego ciała (w przyrządzie trawienia, we krwi), rzeczywiście zmieniają się w tłuszcz, należą: wszystkie rodzaje cukru (cukier trzcinowy, gronowy, mleczny), oraz alkoholu i krochmal (w kartoflach, nasionach zbóż, owocach strączkowych, i w sago).

Do materyj azotowych, otrzymywanych głównie z królestwa zwierzęcego, należą: białka z jaj, ser, mięso, galareta (klej zwierzęcy), włóknik roślinny (w nasionach zbóż) i legumin czyli sernik roślinny (w owocach strączkowych).

Z powyższego okazuje się, że człowiek otyły powinien głównie unikać wszystkich potraw tłustych, masła, cukru (potraw i napojów, zawierających dużo cukru, oraz różnych korzeni, obfitujących w cukier), pokarmów mącznych, pieczywa, kartofli i mocnych napojów wyskokowych, nie wyrzekając się jednak zupełnie tychże pokarmów i napojów. Dyjeta mogłaby być urządzoną, naprzykład w następujący sposób: *Na śniadanie:* herbata lub kawa, bez śmietanki i cukru, albo z małą ilością cukru i zbieranego mleka; bułka bez masła, lecz z szynką lub chudem mięsem (np. z ozorem); nie tłusty bulijon. *Na obiad:* rosół lub zupa mięsna, byleby pozbawione tłuszczu i przypraw mącznych (makaronu, perłowej kaszy, sago, ryżu); mięso jakiegobądź rodzaju, lecz nie tłuste i w małej tylko ilości masła smażone; ostrygi. Z jarzyn, przeważnie liściaste (jak np. szpinak, kapusta, jarmuż, sałata), natomiast należy unikać korzeni obfitujących w cukier (mianowicie: buraków, marchwi, brukwi, rzepy, kalarepy). Za napój, lekkie piwo i woda z małym dodatkiem lekkiego wina. Kartofle oraz chleb, powinny być używane w małych tylko ilościach. *Po obiedzie:* kawa lub herbata, bez cukru, z dodatkiem nieco mleka zbieranego. *Na kolacyją:* chude mięso (szynka, ozór), ser nie tłusty, jajka, bułka lub chleb pszenny (lecz bez masła), owoce, lekkie piwo.

Odnośnie do piwa, wypada tu nadmienić, że wiele osób mylnie przypisuje mu własność szybkiego tuczenia ciała: gdyż w piwie (z wyjątkiem chyba obfitującego bardzo w słód), w skutek fermentacyi, ulegają rozkładowi prawie wszystkie materyje do tłuszczów podobne. Jeśli zaś ludzie, używający dużo piwa, tyją, zależy to nie od piwa, lecz od tłustego pożywienia i leniwego sposobu życia.

Co do 3-go) Spokój cielesny (szczególniej obok zastoju umysłowego i duchowego) usposabia nadzwyczaj do otyłości (o czem przekonywa zresztą tuczenie zwierząt); dla tego też człowiek otyły powinien unikać podobnego spokoju. Natomiast ma on używać więcej ruchu. W tym celu jednak, nie jest dostateczną skromna przez kwadrans przechadzka; potrzeba robić dalekie wycieczki, wspinać się na góry, gimnastykować się, jeździć na łyżwach i konno, pływać, grać w kręgle i bilard, rznąć drzewo, pracować w ogrodzie i t. p.

Sen ma trwać nie dłużej, jak tylko 6—7 godzin, gdyż czas ten wystarcza do wzmocnienia ciała, jeśli naturalnie osoba otyła nie utrudza zbytecznie swego mózgu pracą umysłową. Drzemka po obiedzie, powinna być jak najkrótszą.

Co do 4, 5 i 6-go) Pobudzenie krążenia krwi i oddychania, powstrzymuje odkładanie się nadmiernego tłuszczu (pod skórą, w narzędzia wewnętrzne i w ich otoczenie); nadto, sprawy rzeczone pomagają do wydalenia, przez spalenie, już nagromadzonego tłuszczu (za pośrednictwem wdychanego tlenu, który roz-

kłada tłuszcz na kwas węglany i wodę). Przychylne to działanie przyspieszonego krążenia krwi i oddychania, daje się osiągnąć przez często ponawiane w ciągu dnia przechadzki na czystem według możności powietrzu, przyczem należy głęboko i zwolna wdychać oraz wydychać to ostatnie (najpożyteczniejszemi pod tym względem są przechadzki na czystem, wystawionem na słońce i bogatem w tlen, powietrzu leśnem). Prócz tego, nie trzeba pomijać wskazanych wyżej ćwiczeń ciała, i używać dostateczną do rozrzedzenia gęstej, tłustej krwi, ilość wody. Kto posiada zdrowy żołądek, ten może pić wodę zimną; dla osób ze słabym żołądkiem, stosowniejszą jest woda ciepła. Najlepiej jest pić ciepłą wodę (3—4 szklanek), rano naczczo, przed wyjściem na przechadzkę, lub podczas takowej.

Od głównego swego nieprzyjaciela *udaru mózgowego* (apopleksyi), człowiek otyły, jeśli życie dlań jest miłem, może ochronić się, unikając wszystkiego, co utrudnia *odpływ krwi z mózgu* i wzmacnia *przypływ jej* do tegoż ostatniego; o obrażeniach głowy, oraz o wpływie mocnego gorąca lub zimna na czaszkę, uważam nawet za zbyteczne tu wspominać.

Utrudnienie odpływu krwi z mózgu powodują: ciasna odzież na szyi i piersiach, dłużej trwające schylanie się i podnoszenie ciężarów, sen przy nizkiem położeniu głowy, głośny natężony śpiew, krzyk oraz gra na dętych instrumentach, wydymanie się przy zatkaniu stolca i przy wymiotach, kaszel, znaczne wysilenie cielesne połączone z przyspieszonem oddychaniem.

Przypływ krwi do mózgu ma miejsce zawsze, ilekroć uderzanie serca zostaje przyspieszonem, jak np. w skutek obfitego użycia napojów wyskokowych (upojenie), mocnej kawy, herbaty, przy silnem wzruszeniu umysłu, zepsuciu żołądka, wysilającej pracy fizycznej i umysłowej (zwłaszcza nocną porą), mocnem podrażnieniu narzędzi zmysłów.

Jeżeli osoba otyła pragnie osiągnąć rzeczywistą korzyść z podanej tu metody pozbycia się tłuszczu, to powinna podług niej postępować nie tylko czasami, raz na rok,—lecz owszem ciągle i przyjąć ją za zasadę swego sposobu życia, a wtedy, nie ma ona potrzeby odmawiać sobie zupełnie wszelkich smacznych, czy to tłustych, czy też do tłuszczów podobnych pokarmów i napojów, byleby używała je z umiarkowaniem.

ŚLADY ŻYCIA.

XLII.

Tyle życia ile w czynie.

Dajcie nam tylko jak najwięcej elementarnych nauczycieli *myślących*, a oświata od razu pójdzie w górę, i dola społeczeństwa całego polepszy się szybko!

Uwagę tę nasunął nam mimowoli, wydany niedawno „Elementarz, obejmujący najpraktyczniejszy sposób nauczenia w krótkim czasie czytać, bez poprzedniej nauki alfabetu i sylabizowania.“

Elementarz ten ułożył p. Julijan *Polkowski* nauczyciel szkoły elementarnej na Pradze, i z przyjemnością przychodzi nam zaznaczyć, że tego rodzaju trud pedagogiczny sowicie młodemu pokoleniu, opłacać się może.

Zawsze byliśmy zatem, aby dzieciom oszczędzać czasu i mozołu z sylabizowaniem; ale brak metody praktycznej, zawsze również jak dotąd, na przszkodzie stawał. Pan Polkowski, pierwszy rzec można przeszkodę usunął, bo elementarz jego, jest właśnie pożądaną metodą ową, która tak nauczającym jak i uczącym się za praktyczne ułatwienie, nauki czytania posłużyć jest w stanie.

Główną myślą metody jest uzmysłowienie niejako dźwięków, z których składają się sylaby, a gdzie zaś dźwięki są, dla doraźnego złożenia wyrazu, nieco przytrudne i co też w szczególności, trafia się przy każdym zbiegu spółgłosek, tam właśnie spółgłoski te oddzielone są kreskami.

Tym sposobem dziecko, mogąc wymówić każdy dźwięk z osobna, niepotrzebuje już męczyć się nad składaniem, choćby w myśli nawet, pojedyńczych liter, i czytanie samo przychodzi mu z łatwością.

Z tych to więc względów, Elementarz pana Polkowskiego, przy pierwotnem kształceniu, które samo przez się jest pełne „bakalarskiego“ mozołu, jako mozoł ten zmniejszający; szerokie zastosowanie praktyczne znaleźćby winien.

Nie możemy natomiast czegoś podobnego, o innym znów, a także dla doraźnego czytania ułożonym elementarzu powiedzieć. Elementarz ten bowiem, którego autorem jest p. A. K., chociaż także opiera się niby głównie na poznaniu przedewszystkiem dźwięków, to jednakże, dla poznania tego właśnie, pan A. K. żadnych prawie ułatwień nie wprowadził, a nawet same wyrazy dla pierwszego, czyli raczej doraźnego czytania, najniefortunniej w wielu razach dobrał.

Czyż bo np. dziecko może od razu, bez oddzielenia wyraźnego zbiegu spółgłosek, i bez uwzględnienia tym sposobem pojedyńczych dźwięków *czytać* takie wyrazy jak np. *szum*, (str. 8) *węch* (str. 14) i t. p? Naturalnie, przeczytać ostatecznie może; lecz czy ***namyślanie się nad składaniem wyrazów w myśli***, nie jest prawie takim samym jak głośne sylabizowanie „nakaniem.“

* * *

Czy zwracaliście kiedy uwagę czytelnicy na mnożące się w Warszawie kantory wekslu?

Zapewne któżby tego nie widział, co samo niejako rzuca się w oczy, lecz co więcej, to i to było niemniej widocznem, że wszystkie *prawie* kantory owe były w każdą sobotę zamknięte, a ich właściciele święcili dzień sabatu.

Naturalnie sabat mógł być bardzo niewygodnym i obowiązującym zresztą nawet dla pp. meinów, keinów, steinów borgów i t. p. nie był jednakże takim, to jest ani wygodnym ani obowiązującym dla publiczności, która tak dobrze w czwartki, piątki, jak i soboty, potrzebuje np. zmieniać pieniądze i t. p.

Otóż niedogodność tę usunął choć w pewnej części p. *Poraziński*, zakładając *kantor wekslu* na Krakowskiem Przedmieściu.

Jest to więc pierwszy kantor chrześcijanina, który stając śmiało do konkurencyi z falangą kantorowiczów mojżeszowego plemienia, staje tem samem w rzędzie najbardziej w stosunkach naszych handlowych, pożądanych pionierów. Pijonierom tego rodzaju, życzymy zawsze wytrwałości, a przy wytrwałości, szczęścia! Takich też wreszcie pionierów, ogół dobrze myślący, z zasady popierać by powinien, a że poparcia tego i kantor p. Porazińskiego dozna, niewątpimy bynajmniej.

Żydofile i adwokaci żydowscy, gotowi nas „szarpać,“ nazywając wzmiankę powyższą tendencyjną reklamą. Tak, ani słowa; tendencyi tego rodzaju nie wypieramy się wcale. Nie znając p. Porazińskiego odzywamy się jednak z całą życzliwością o jego przedsięwzięciu, bo pragnęlibyśmy gorąco, aby przykłady podobne przestały się raz przecie do wyjątków zaliczać i aby tym sposobem handel nasz z monopolu jednej *wyodrębnionej* klassy ludności, wydobył się raz przecie.

* * *

Mens sana in corpore sano, mówi starych ludów przysłowie; nie ma jednak prawidła bez wyjątków. Za dowód, że są podobne wyjątki, służyła dotąd dyrekcyja naszych obu teatrów uporczywie twierdząca, że nasi autorzy dramatyczni mogą o chlebie i wodzie tworzyć arcydzieła, napełniające kassy teatralne. Długich lat trzeba było, nim zdołała się przekonać że tak być nie może i dziś nareszcie chodzą słuchy o stanowczej zmianie ku lepszemu. Dyrekcyja teatrów zamierza jednorazowe honoraryjum, naturalnie dotąd zupełnie dowolne, zamienić na system tantijemowy. O korzyściach wynikających z podobnej zamiany nie ma co mowić, dosyć powiedzieć, iż system tantijemowy przyjęty jest oddawna we wszystkich pierwszorzędnych teatrach. System ten gwarantuje zdolnemu autorowi prawdziwą wartość jego utworu; publice, jakość wystawionych sztuk. Z poklaskiem więc witamy pożądany oddawna zwrót, życząc mu najprędszego zejścia z krainy projektów na pole rzeczywistości.

* * *

Voyage au pays des milliardes; pod tym tytułem podróżnik francuzki pan Wiktor Tissot, Szwajcar rodem, ale Francuz z przekonań, wydał opowiadanie z podróży w roku zeszłym po Niemczech odbytej. Ciekawe to ze wszech miar opowiadanie, doczekawszy się w przeciągu kilku miesięcy sześciu wydań, zainteresowało czytającą publikę w całej Europie. „Gazeta Warszawska, podaje z pracy p. Tissot obszerne sprawozdanie, przytaczając przytem całe ustępy. Pozwolimy sobie przytoczyć jeden z nich, rzucający jaskrawe światło na to, co dotąd zaledwie nieśmiało przepowiadali znawcy nowo pruskiego świata. Robiąc wyprawę dla odparcia najazdu, Niemcy dały się unieść duchowi zdobyczy i powróciły do swych ognisk, prowadząc za sobą aryjergardę wad jakich dotąd nie znały. Raz opuściwszy drogi swe prawdziwie cywilizacyjne i humanitarne, Niemcy z powrotem wstąpiły do swych borów; nie znają już swego pracowitego wczasu, zatraciły tradycyją starożytnych cnót swoich domowych, stawszy się zdobyczą wszelakich pragnień materyjalnych. Zdaleka wątpićby jeszcze można było o tylu symptomatach; lecz przykładając ucho

usłyszymy pulsacyją narodu głęboko nurtowanego i niezdrowego.

* * *

Że potężne Niemcy inaczej trochę wyglądają przy bliższem rozpatrzeniu się mamy nowy dowód. Ustrój państwowy nowych Niemiec nie chce znać żadnych przegród dla swego rozrostu, nawet wtedy, gdy przejście po za ową liniję graniczną jest aż nadto widoczne. Bank państwowy niemiecki, opierając się na § 13 swej ustawy, otwiera w swych kantorach prowadzenie interesów wekslarskich, a jako wolny od opłat wymaganych od zwykłych wekslarzy, naturalnie zabije wszelką prywatną konkurencyją, zmuszając wszystkie dotychczasowe domy do zamknięcia swych interesów. Być może że taniej odbywać będzie swe operacyje, ale czy państwo choć raz dobrze wyszło, pozbawiając społeczeństwo jakiejkolwiek gałęzi zarobkowania pod pozorem troskliwości o jego własne dobro? Bardzo więc słusznem wydaje się nam pytanie „Gazety Handlowej,“ Dla czego państwo niemieckie tak troskliwe o dobro społeczeństwa, nie dostarcza mu tańszego chleba, niedba o jego nędzne (Berlin) mieszkania, nie myśli co biedny wyrobnik jutro jeść będzie?.....

* * *

W muzeum techniczno-przemysłowem krakowskiem dnia 1 października r. b. rozpoczęły się lekcyje malarstwa, rysunków i drzeworytnictwa dla kobiet pod kierownictwem Jana Matejki. Jednocześnie rozpocząć się miały wykłady na wydziałach hadlowym i gospodarskim, jeśli się zebrała dostateczna liczb uczen nic. Zapisujące się na wydział gospodarczy winny wysłuchać poprzednio kursu nauk przyrodniczych; wstępnych egzaminów nie ma wcale i jedynym warunkiem przyjęcia jest ukończonych lat 16.

* * *

Ustawa szkoły technicznej przy warsztatach drogi W. Wiedeńskiej i W. Bydgoskiej została zatwierdzoną. W ciągu pierwszych trzech lat wykład będzie się odbywał w języku polskim. O bliższe szczegóły postaramy się i podamy je czytelnikom naszym w Opiekunie.“

* * *

Zbliża się pora odczytów; które aby nam i w tym roku dały światła, światła zwłaszcza maluczkim!

Idzie o odczyty rzemieślnicze. Pamiętacie może czytelnicy, ile to w roku zeszłym narozprawiano się o miejscu stałem dla owych dziesięciogroszowych prelekcyj. Felijotoniści i niefelijotoniści radzili, gdzieby znaleść się mogła odpowiednia sala, czyim kosztem i w jaki sposób mógłby powstać jaki taki budynek na to, słowem mówiono wiele.

A zrobiono?... O ... o ... bardzo niewiele, bo raptem *nic!*

Miły Boże! Toż to gdzieindziej dla klas pracujących, robią milijonowe w celu ich oświecenia wydatki; toż tam zakładają kosztowne muzea, tworzą bogate gabinety i t. p., a u nas na postawienie, jednej chociażby „szopy,“ trudno przez lat parę się zdobyć!

I niechże kto powie, że to wielkie słowo: *o światła mass* jest u nas czemś więcej, jak ładnie brzmiącym a bezmyślnie wymawianym frazesem?!

Bądź co bądź jednak pociesza nas myśl, że i w tym roku, rzemieślnicy warszawscy mieć będą prelekcyjne uczty, bo już kilku z zeszłorocznych prelegentów pracę swoję przyrzekło.

Oby więc tylko i inni „ludzie pióra i słowa“ poszli za tym pięknym przykładem, i oby tym sposobem, prelagentów nie zbrakło, a żądny duchowej strawy „świat maluczkich“ skorzysta coś przecie.

* * *

Jak też świetnie idą nasze sprawy ogólne!

Ot np. przemysłowe muzeum!

Jeżeli się nie mylimy, to od dwóch lat przeszło sypały się i na ten również temat żywe bardzo projekty, ba i sprzeczano się nawet o to kto pierwszy, myśl utworzenia instytucyi, podniósł.

A po latach dwóch, co się w rezultacie zrobiło? Doczekano się zatwierdzenia ustawy, i... i nic więcej.

Doprawdy, to już chyba w oczach „naszych najserdeczniejszych“ nie rekomenduje nas zbyt korzystnie!

Jesteśmyż tak jeszcze niepełnoletni, czy już tak niedołężni, że jednej choćby instytucyi której kraj potrzebuje gwałtownie, nie możemy własnemi siłami przyprowadzić do życia?

Lecz na Boga! cóż się z owem zatwierdzonem muzeum ostatecznie dzieje? Kto się sprawą tą bezpośrednio zajmuje, gdzie jest i co porabia? Ha, jest tam podobno, jakiś oddzielny, specyjalny „komitet,“ ale jak większość złożonych z powag „komitetów,“ nie raczy nic powiedzieć o sobie. Ludzie pytają się ciekawie: a cóż z tem od tak dawna pożądanem muzeum? a gdzie mamy dary i fundusze przesyłać? na czyje ręce składać? i t. p., a tymczasem, poważny ów komitet milczy.

Oj! szanowne komitetowe powagi! Jeżeli wam idzie o tytuły jedynie, i jeżeli dla tego tylko, apatyją swą psujecie najpilniejsze roboty, wyrządzając krzywdę krajowi, to warto doprawdy, aby was rozżalony głos opinii raz na zawsze wyszydził, a najprzód aby was w specyjalną opiekę wziął np. p. Bolesław Prus, piszący wyborne „kroniki“ w Kuryjerze Warszawskim.

* * *

O! bo pan Pruss, umie kłuć do żywego! Jak np. w swoich „kartkach z podróży“ zaśpiewał siedleckim gryzipiórkom: „jestem sobie panie kanclerz, kanclerz“ to tak, ni stąd ni z owąd młodzież pleśniejąca przy biurowych stolikach, dalejże myśleć, do czegoby się zabrać, aby i pożyteczniej jakoś pracować i przedmiotem drwin nie być. Podobno nawet paru z panów kanclerzy ma zamiar jąć się kopyta albo młota.

Piękna doprawdy myśli i oby tylko w czynie, w czynie!, zobaczyć ją można!

* * *

Z licznemi w Warszawie i na prowincyi kółkami amatorów dramatycznych podzielić się chcemy ważną dla nich wieścią. Jeden z bardzo zdolnych i bardzo sumiennych artystów teatrów prowincyjonalnych p. Józef Cybulski, osiedlił się na zimę w Warszawie (ulica Pańska, 27) i zamierza dawać lekcyje sztuki dramatycznej, poczynającym jej adeptom. Oprócz tego p. Cybulski ma zamiar zajmować się na żądanie całkowitem urządzeniem teatrów amatorskich w Warszawie i na prowincyi, ku czemu długoletnia jego znajomość wymagań scenicznych, niezawodną daje rękojmię.

* * *

Czytelnikom naszym wiadomo, że wkrótce już bo od czerwca roku przyszłego, obowiązywać u nas zaczną nowe ustawy sądowe. Ma się rozumieć że zapoznanie się z postanowieniami dotykającemi najistotniejszych praw i odbijających się na najbliższych naszych stosunkach prywatnych i ekonomicznych, jest niezbędną dla wszystkich obywateli kraju potrzebą. Temi też powodowana względami „Gazeta Sądowa“ w Nr. 42 rozpoczęła szereg artykułów o reformie sądowej w Królestwie, z których każdy czytelnik nie posiadający nawet specyjalnego wykształcania prawnego, *będzie mógł sobie utworzyć pojęcie o zasadach na jakich się wsparło nowe prawodawstwo i zapoznać się z nową charakterystyką reformy sądowej.* Na pracę te zwracamy naszych czytelników uwagę, a pewni że wielu z pomiędzy nich zechce z dobrej sposobności skorzystać, nadmieniamy że biuro redakcyi „Gazety Sądowej“ mieści się przy ulicy Ciepłej pod Nr. 4 nowym; przedpłata zaś kwartalna wynosi w Warszawie Rs. 1 kop. 50, a na prowincyi rs. 2.

STAW KSIĘDZA OPATA

przekład z angielskiego.

(Dokończenie).

— Czekajcie, rzekł wikary, lepiej ją zanieść zaraz na górę. Ciężko upadła, dodał zwracając się do żony, i czem prędzej ją położymy do łóżka, tem lepiej dla niej będzie.

— Czy mogę w czem być pomocnym? zapytał nieszczęśliwy Smith.

Wikary podziękował grzecznie, a wziąwszy biedną Elsie na ręce jak dziecię, zaniósł ją na schody, poprzedzony przez żonę, która pobiegła ze świecą przygotować łóżko. Isott zrazu poszła za niemi, ale niebawem zawróciła, sądząc że niebezpiecznie było zostawiać cały dom i dzieci wikarego, na łasce tego podejrzanego człowieka.

— Podobno ja tu nie mam co robić, rzekł ów nieszczęsny gość. Jutro przyjdę się dowiedzieć o zdrowie pani Denbigh. A może już i pana Denbigha zastanę.

— Jak się jegomości podoba, odparła Isott niechętnie, bo była zła na niego, chociaż sama nie wiedziała za co. Pan jutro powróci, jeżeli Bóg da doczekać, i jegomość też mogłeś poczekać ze swoim interesem, jakikolwiek on tam jest, a nie tak śmiertelnie przestraszyć moję biedną panią, która to życiem przypłacić może.

— Ależ ja wam daję słowo, moja kobieto, że wcale nie wiem jaka była przyczyna zemdlenia waszej pani, rzekł napastowany, broniąc się od niezasłużonego oskarżenia. Upewniam was żem nie powiedział nic takiego, coby ją mogło zmartwić lub rozdrażnić. Przy-

szedłem tylko dowiedzieć się o adres jednego z moich przyjaciół, który jest zarazem przyjacielem pana Denbigha, kapitana Claveringa.

Isott właśnie była zajęta zamykaniem okna, ale po tych słowach odwróciła się gwałtownym ruchem i przyskakując do zdumiałego Smitha, wykrzyknęła:

— A kimże wacpan jesteś, żeby przychodzić męczyć tę drogą biedaczkę, jeszcze pod nieobecność mego pana, przypominaniem jej nieboszczyka pierwszego męża!

— Nieboszczyka jej męża! powtórzył przerażony pan Smith.

— A cóż, czy wacpan jeszcze nie rozumiesz? Boże odpuść! ten człowiek jeszcze nie wie co zrobił! Ja wacpanu mówię że kapitan Clavering nie żyje, utonął biedaczysko, a pan Denbigh ożenił się z wdową po nim. Teraz jegomość wiesz wszystko.

W tej chwili zbiegł ze schodów wikary, i powiedział starej Isott żeby poszła do swej pani, która zaczyna przychodzić do siebie, ale jest ciągle zimną jak trup.

— Czy się jakie nieszczęście przytrafiło Denbighowi? zapytał niespokojnie obcego: po odejściu Isott, ale pan Smith go nie słyszał, tylko stał jak wryty, patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem. Drgnął gdy pan Carter powtórzył swe pytanie, i rzekł szybko, urywanym głosem:

— Wiem że przybycie moje tutaj zupełnie jest nie w porę, ale nie moja w tem wina. Pan jesteś duchownym tej parafii, czy tak?

— Tak jest, odrzekł zdziwiony wikary.

— I urzędnikiem zarazem? Więc mogę mówić z panem. Bardzo mię to boli, ale to sprawa strasznej ważności, i obowiązek sumienia milczeć mi nie pozwala.

Pan Carter wszedł do saloniku, gdzie jego dzieci zaprzestawszy zabawy, skupiły się w trwożną gromadkę. Poleciwszy jednej ze służących aby je natychmiast odprowadziła do domu, powrócił do apteki, gdzie nieznajomy stał ciągle w tej samej skamieniałej postawie. Wikary nie mógł powstrzymać nerwowego dreszczu, szczególnie gdy ten człowiek najpierwej starannie drzwi zamknął, i gdy znaleźli się obadwa sami w tej posępnej izdebce, gdzie ogień na kominku wygasł prawie zupełnie, a świeca zamieniła się w grubą massę stopionego łoju. Lecz pierwsze słowo wyrzeczone przez nieznajomego, zajęło silnie uwagę pana Cartera, i rozmowa ich przeciągnęła się późno w noc, aż ostatnia iskra na kominku wygasła, i blade światło księżyca napełniło pokoik. Było już około północy kiedy ich narada przerwaną została nagłem otworzeniem drzwi, na który to odgłos obadwa zadrżeli jak winowajcy. Była to pani Carter ze świecą w ręku, blada i pomieszana. Spojrzała z widocznem zadziwieniem na nieznajomego, potem na męża, i rzekła do tego ostatniego:

— Czy nie mógłbyś parę słów ze mną pomówić? A gdy wyszli oboje do sieni, rzekła zniżonym głosem:

— Czyż nie możesz się raz pozbyć tego człowieka? Ani przypuszczałam żebyś do tego czasu przesiedział zamknięty z nim. O czemże tak długo rozmawialiście? O Johnie, cóż się to strasznego stało?

— Dowiesz się o wszystkiem.

— Może trzeba zatelegrafować do pana Denbigha?

— Musimy zaczekać do rana. Dopiero o siódmej otwierają biuro telegraficzne.

Pani Carter pośpieszyła napowrót na górę, gdzie leżała biedna Elsie.

— Podobno nie mam tu już co robić, rzekł pan Smith. W ciągu dnia będę u pana; a tymczasem wypada mi wstrzymać się z wszelkiemi krokami, wszak takie pańskie zdanie?

— Wstrzymaj się pan przynajmniej dopóki nie będziemy mieli jaśniej wytkniętej drogi. A jeżeli też się wykryje że ten nieszczęśliwy wcale nie wylądował w Anglii, ale umarł w drodze, co mogło się stać, chociaż byłoby szczególnym zbiegiem okoliczności, żebyśmy w takim razie nic o nim nie słyszeli; jeżeli mówię takie będzie wyjaśnienie tej całej sprawy, po co ją rozgłaszać i otwierać pole do niedorzecznych plotek? W każdym razie, zacznij pan ostrożnie czynić poszukiwania. A ja rad będę najpierwej pomówić o tem z Denbighem.

— Z Denbighem?! powtórzył pan Smith zdziwione spojrzenie podnosząc na wikarego. Pan z nim chcesz mówić? — No, zresztą jutro jeszcze pogadamy o tem. Do widzenia.

Wikary pozostał sam ze swemi myślami. A smutne ogarnęły go myśli, gdy usiadł w saloniku przed kominkiem, na którym służące nanieciły świeży ogień. Niebawem jedna z nich przyniosła mu herbaty; a wkrótce dzwonek u drzwi oznajmił przybycie kobiety po którą posłano. Nakoniec przybył i pan Scott, któremu pani Carter ustąpiła swego miejsca przy łóżku chorej. Gdy weszła do saloniku, mąż jej przeraził się widokiem jej bladości. Przysunął jej natychmiast fotel do kominka, i nalał jej filiżankę herbaty.

— Jakże się ma pani Denbigh? zapytał.

— Źle, bardzo źle, niestety! Stan jej tak jest nienaturalny, że mię przeraża. Przez cały ten czas wcale nie przemówiła, zaledwie się porusza, i zimną jest jak lód. Żadnym sposobem rozgrzać jej nie można. O mój Johnie, co to jest? W każdym razie zdaje mi się że odebrała cios śmiertelny.

— Dowiedziała się okropnych rzeczy. To długa historyja.

A przysunąwszy się z krzesłem do żony, wikary opowiadał jej wszystko co usłyszał od pana Smitha.

Po pierwszym wybuchu zdumienia, pani Carter wysłuchała całego opowiadania męża w milczeniu, bez tych pytań i komentarzy któremi zwykła była doświadczać jego cierpliwości. On już przestał mówić, a ona ciągle nieruchomie patrzyła w ogień tlejący na kominku. Po chwili wikary mówił dalej:

— Podług mego zdania, trzy są okoliczności które przypuścić można. On mógł umrzeć w drodze; o tem z łatwością przekonać się można. Albo też powróciwszy i znalazłszy swoję Elsie żoną innego, mógł uniesiony żalem i rozpaczą usunąć się jej z drogi, i nie dać wcale wiadomości o swem życiu.

— To niepodobne do Herberta Claveringa, rzekła pani Carter wstrząsając głową.

— Trzecie przypuszczenie jest najgorsze ze wszystkich, ale bodaj czy nie najprawdopodobniejsze. Dowiedziawszy się o swem nieszczęściu, mógł sobie życie odebrać.

Pani Carter znowu wstrząsnęła głową, ale nic nie mówiła. Mąż jej rzekł zniecierpliwiony:

— Ty zawsze masz swoje pomysły, Mary; powiedzże mi co o tem sądzisz. Ja widzę że robisz swoje wnioski w tym względzie.

— Nie, bynajmniej; na czemżebym je opierała? Więc mówisz że ten człowiek jest pewny przybycia do Anglii owego parowca?

— Tak jest; wyczytał w gazecie datę jego przybycia; powiada że to było 14 stycznia, właśnie dziś trzy lata temu.

— Co? zapomniałżeś co było 15-go stycznia tegoż roku? Ja się mylić nie mogę. Nie zapomnę nigdy daty ślubu Elsie, bo to był dzień urodzin naszego Johny, rok natenczas skończył, czy nie pamiętasz? O! mój Boże!

Pan Carter wydał okrzyk bolesnego zadziwienia, mocno tą datą uderzony.

— To zdaje się szczególnem, wyrzekł stłumionym głosem, że ten biedak nie podążył prosto do domu. Kto wie? może przybył tu wsąsiedztwo, może do Slowcombe i usłyszał....

Wikary mówił zwolna, a żona jego śledziła wyraz jego twarzy, widziała jak ściągnął brwi, i przesunął ręką po czole, szukając wniosku do którego jej lotniejszy kobiecy umysł przyszedł. Gdy podniósł oczy, spotkał jej spojrzenie, jak gdyby przez pół oczekiwała, przez pół lękała się usłyszeć od niego to, czego sama wyrazić nie śmiała.

— Co myślisz Mary?

— Ja myślę, odrzekła cichym, wzruszonym głosem, ja myślę, że najkrótsza droga od Slowcombe prowadzi koło tych drzwi. Przypominam sobie jak Herbert Clavering przybył po raz pierwszy do Sedgebrooku, i jak kochał pana Denbigha. I... o! Johnie! mimowolnie staje mi w pamięci przerażająca bladość pana Denbigha w dzień jego ślubu!

— Przecież nie przypuszczasz, że oni się spotkali? Że Denbigh wiedział iż Clavering pozostaje przy życiu? To niedorzeczność! Dla czegóżby Clavering miał się usuwać, gdyby był przybył przed ślubem? A choćby nawet Clavering dał się tak okropnie obłąkać, jakże możesz przypuścić, aby Denbigh był do tego stopnia niegodziwym i na to pozwolił? Człowiek tak honorowy, któremu nic zarzucić nie można...

Tu zamilkł wikary, gdyż jego żona, z przytłumionym okrzykiem położyła dłoń na jego ramieniu i wyczytał w jej rozwartych szeroko oczach tę samą myśl, która właśnie i w jego się głowie zrodziła....

ROZDZIAŁ VI.

„Chociaż młyny Pana Boga mielą powoli,
mielą nadzwyczaj miałko:
„Chociaż on czeka cierpliwie, zmiele wszystko i nic zapomnianem nie zostanie.

Longfellow.

— Jakże się ma? pytała następnego dnia starej Isott, pani Carter.

— Żyje jeszcze, ale wkrótce Bóg ją do siebie zabierze biedaczkę, to nie ulega wątpliwości. Biedne jej dziecię już ją tam poprzedziło.

— Czy urodziło się nieżywe?

— Ani razu nie odetchnęło biedactwo chło-

piec proszę pani. Biedna pani, zaraz po jego urodzeniu dostała strasznych konwulsyj, a odkąd ją ominęły, nic nie mówi i zdaje się na wszystko nieczułą; pani Baker myśląc że ją tem wyrwie z tego odrętwienia, powiedziała jej o dziecku; ale tak samo kamieńby się poruszył.

— Kiedyż się spodziewacie pana Denbigha?

— Teraz jeszcze pan nie może przyjechać, odrzekła Isott z głupowatym wyrazem twarzy. Może wieczornym pociągiem, ale nie wiem z pewnością.

— Chciałabym odwiedzić panią Denbigh, jeżeli można, rzekła pani Carter postępując ku schodom, ale Isott zastąpiła jej drogę.

— Zalecono nam zupełną spokojność, rzekła patrząc prosto przed siebie, i zakazano przyjmować gości, dodała tak dobitnie, że pani Carter cofnęła się, i rzekła odchodząc:

— Więc nie mogę wejść? Proszęż was przynajmniej, abyście mi zaraz dali znać, gdyby odzyskała nieco przytomności.

Isott dała żądane przyrzeczenie ze skwapliwością osoby, która naprzód postanowiła nie dotrzymać go; a pani Carter oddaliła się zasmucona. Wtedy Isott usiadła przy oknie z którego widzieć można było całą ulicę. Po niedługim czasie odgłos szybkich kroków po zmarzniętej ziemi zwrócił jej uwagę i zaczem dzwonek się ozwał, ona już drzwi otworzyła i stała naprzeciwko swego pana. Jego wyniosła postawa wydawała się jeszcze pełniejszą siły, po odbytej kilkomilowej przechadzce, a twarz jego jaśniała zadowoleniem powrotu do domu. Przyszedłszy od Slowcombu ścieżką przez pole, nie usłyszał żadnej wiadomości, i kiwnąwszy przyjaźnie głową starej słudze, chciał ją wyminąć śpiesząc do żony, gdy Isott uchwyciła go za rękę z siłą której w pierwszej chwili nie mógł się oprzeć, pociągnęła go za rękę do pokoju, i drzwi za sobą pozamykała.

— Panie Filipie, rzekła mimowolnie powracając do dawnego sposobu mówienia, kiedy pan Denbigh był małym chłopczykiem, wszystko się wydało. Wczorajszego wieczoru był tu jeden gentleman, który im powiedział że kapitan Clavering wcale nie utonął; i że tu przybył właśnie przed trzema laty; i wikary wie o tem, i pani Carter wie o tem; ale ponieważ zamykali drzwi, kiedy o tem rozmawiali, nie wszystko słyszałam. Ośmieliłam się otworzyć dziś rano list pana do pani, a kiedym zobaczyła, że pan już nie zdąży odebrać ich telegrafu, i że pan tu będzie prędzej, niżeli się spodziewają, uznałam w tem rękę Opatrzności.

Isott mówiła prędko nie patrząc wcale na swego pana; oglądała obrąbek u swego fartucha i usiłowała pokonać gwałtowne drżenie. Gdyby była podniosła oczy, byłaby widziała, jak zielonkowaty cień padł na bladą twarz p. Denbigha; lecz głos jego był tak pewny jak zawsze, gdy zapytał surowo:

— Czyś ty zwaryjowała Isott?

— Nie panie Filipie, rzekła nieco spokojniej, ja nie zwaryjowałam, i pan dobrze wie o tem. Nie będę o to wszystko pytała, o tego nieznajomego co tu był owego wieczoru, co pan wie. Nie będę się pytała; to sprawa pomiędzy Bogiem i pańskiem sumieniem; ale oni pana będą pociągać, będą, jak Pana Boga kocham, i tu jest dwadzieścia funtów, o które ani ja, ani Jonatan nigdy się dopominać nie będziemy, i, usłuchaj mojej rady, panie Filipie, weź te pieniądze i uciekaj, uciekaj natychmiast, będziesz to miał na koszta podróży; bo ja kocham ciebie panie Filipie, zakończyła wybuchając gwałtownem łkaniem; ja kocham ciebie, i zawsze kochałam! O! nie chciej panie Filipie moich siwych włosów do grobu zaprowadzić!

Patetyczność namiętnego błagania, drżąca w głosie starej kobiety, dziwną tworzyła sprzeczność z niewzruszoną postawą jej pana.

— Gdzie jest twoja pani? zapytał ze zwykłą swoją porywczością, odpychając rękę, którą Isott wyciągała ku niemu, pełną swych ciężko zarobionych oszczędności.

— Pani? o panie mój, uciekaj, uciekaj co prędzej! Nie ma co myśleć teraz o pani, ona was nie pozna.

— Moja żona chora! wykrzyknął, i rzucił się ku drzwiom, lecz Isott zastąpiła mu drogę, i znowu uchwyciła go za rękę.

— Usłuchaj mojej rady, panie Filipie, usłuchaj. Biedna pani niedługo już tutaj zagości, ale gdyby mogła przemówić, pewnieby ostatnie jej słowa były: uciekaj! uciekaj! Bóg weźmie ją do siebie, kochany panie, tak jak wziął biedne drogie dzieciątko; ale pan, o pan uciekaj natychmiast, bo słusznie czy niesłusznie oni powieszą pana, jak mi Bóg miły.

Filip Denbigh stał jak skamieniały, dopóki stara kobieta mówiła o żonie jego, ale skoro powróciła do tego co się jego samego tyczyło, przerwał jej niecierpliwie.

— Puść mię do twojej pani.

Isott chciała jeszcze stawiać opór, ale on odepchnął ją silnie, i wybiegłszy z pokoju w jednej chwili już był na górze.

W starannie zasłoniętym pokoju chorej cisza panowała zupełna, gdyż pan Scott, przepędziwszy kilka godzin przy niej, oddalił się był na chwilę, przyrzekając powrócić dla narady z doktorem, po którego telegrafowano do Briswicku. Sprowadzona kobieta sama tylko czuwała. Powstała gdy się drzwi otworzyły, i nieszczęśliwy mąż przystąpił do łóżka, i stanął przed niem z rozdartem sercem. Konwulsyje które przez kilka godzin wstrząsały wątłą budową jego żony już były ustąpiły, lecz doświadczone oko Filipa za pierwszem spojrzeniem poznało że żadna nie pozostała nadzieja. Widział śmierć w sztywnem położeniu wyprężonych członków, śmierć w ciężkim i nierównym oddechu, śmierć w kredowej bladości twarzy. Dozorczyni przejęta litością na widok niemej rozpaczy tego człowieka, zaczęła szeptać jakieś oklepane pocieszenia; nie zrozumiał słów jej, ale zobaczywszy dopiero jej obecność, dał jej znak aby wyszła z pokoju. Usłuchała chociaż niechętnie, a gdy się drzwi za nią zamknęły, ogrom boleści pokonał całą moc duszy Filipa Denbigha; rzucił się na kolana, i z głuchym jękiem ukrył twarz na posłaniu.

Niezmierne wycieńczenie Elsie zapewne jej nadawało pozór bardziej nieczuły na świat zewnętrzny, niż tak było w istocie, bo drgnęła na ten odgłos, blade jej usta poruszyły się, i jakiś błysk przytomności przemknął po jej martwej twarzy, następnie otworzyła szeroko oczy i spojrzała na męża, zrazu błędnym niepewnym wzrokiem, potem chwilowo zajaśniał w nich promień błogiego zadowolenia z jakiem go zwykle witała, lecz natychmiast zmienił się w wyraz niesłychanej zgrozy, i zrobiła wysilenie żeby odwrócić głowę i ukryć twarz w poduszkach. On to tylko widział, że się życie objawiło w jej poruszeniu, i pochylił się ku niej, podając jej łyżkę wzmacniającego lekarstwa, które przygotowane dla niej było. Ale ona zrobiła słabe przeczące poruszenie, a gdy ją chciał nakłonić błagalnie namiętnemi słowy, twarz jej przybrała mocniejszy wyraz zgrozy i wyjąkała ledwie słyszanym głosem:

— Nie mogę, umieram... dzięki Bogu!! — A zebrawszy gasnące siły, spojrzała mężowi prosto w oczy badawczym wzrokiem, przed którym mimowolnie spuścił swój ku ziemi, poczem wyrzekła mocniejszym głosem, z przerażającą spokojnością:

— Filipie, czyś ty go zabił?....

On zaledwie drgnął na te słowa: zdawało mu się że już poprzednio odgrywał całą tę scenę, i wiedział naprzód co ona powie. W tej stanowczej chwili czuł że mu zarówno było nie podobnem skłamać przed konającą żoną, jak zmusić usta do wyznania strasznej prawdy. Powtórnie padł na kolana i ukrył twarz na łóżku.

— O mój biedny Herbert, mój biedny, biedny Herbert! wyszeptała.

Tego już było za wiele dla niego; nie mógł znieść aby jej ostatnia myśl zwracała się do człowieka, który był jego rywalem, którego nienawidził właśnie dla tego, że go tak ciężko ukrzywdził.

— Elsie! wybuchnął głosem stłumionym od gwałtownego wzruszenia, to dla ciebie zostało uczynionem; ja cię tak kochałem, a teraz ty mię nienawidzisz! O Boże! jakże jestem ukarany! Tracę ciebie, tracę ciebie na tym świecie, tracę ciebie i na tamtym!...

— Nie, nie! zawołała, I powiodła ręką po czole, jak gdyby usiłując pochwycić myśl, która jej się wymykała. Nie umiem tego powiedzieć, rzekła jeszcze; słów mi brakuje. Bog może wszystko przebaczyć, wszystko, nawet....

Uniesiony bezrozumną chęcią wyrwania swego skarbu z objęć anioła śmierci, Filip pochylił się ku umierającej żonie, i porwał ją w swe ramiona, oczekując z rozpaczliwem upragnieniem aby go obdarowała jednem spojrzeniem, jednym pocałunkiem takim jakich mu dawniej nie szczędziła, a jakich już nigdy, nigdy nie miał od niej odbierać, choćby nawet przy życiu pozostała.

Ale gdy dotknął jej zimnej ręki, ta ukochana ręka cofnęła się ze wstrętem; umierająca zdała się zamykać sama w sobie, aby się obronić przed jego uściskiem, i ostatnie robiąc wysilenie, odwróciła się żeby uniknąć dotknięcia ust jego.

Niebawem przybył doktor z Briswicku wraz z p. Scottem. Powitawszy ze smutną powagą swego kolegę, zaczęli rozmawiać po cichu, odwołując się od czasu do czasu, do niego jako do lekarza; ale on spoglądał na nich błędnym wzrokiem, i siadał znowu na sofie w nogach łóżka jak odurzony, opierał ręce na stole i twarz w dłoniach ukrywał. Lekarze stali patrząc z żalem na ten świeży kwiatek w wiośnie życia podcięty, czując swą niemożność przyniesienia jakiejkolwiek pomocy.

Przez okno otwarte w drugim pokoju, dochodziły odgłosy zewnętrznego życia, stara Isott usunęła się na palcach i łzami zalana zajęła swoje miejsce przy łóżku. Filip Denbigh ani poruszył się. Cała dusza jego skupiona była w dwóch myślach, pełnych niewysłowionej goryczy, że jego żona konała i że ostatniem jej przytomnem poruszeniem było odwrócić się ze zgrozą od niego.

On najpierwszy ze wszystkich obecnych poznał kiedy słaby oddech konającej ustał zupełnie; ale chociaż serce jego szarpnęło się gwałtownie w chwili gdy straszna cisza zaległa pokój, nie poruszył się dopóki jeden z lekarzy nie położył ręki na jego ramieniu i nie szepnął mu że już wszystko skończone..... Wtedy powstał, chwiejącym krokiem zbliżył się do łóżka, i oparł się o ścianę, nie zdolny ustać na nogach. Po chwili spostrzegł że go pozostawiono samego z umarłą; wtedy rzucił się na nią wybuchając rozpaczliwym jękiem.

— Boże mój! Boże! Na tożem zaprzedał duszę moję!

W kilka godzin później, gdy już ukończono smutne przygotowania, i pokój przybrał zimną i sztywną czystość towarzyszącą zawsze śmierci, Isott z podziwieniem ujrzała go wchodzącego tam znowu. Na wybladłej jego twarzy malował się dziwny wyraz rozpaczliwego postanowienia. Przez chwilę stał z oczyma wlepionemi w to martwe oblicze, tak niedawno jeszcze jaśniejące szczęściem i miłością, tak kochające i tak ukochane, któremu śmierć już powróciła zwykły spokojny i słodki wyraz. Potem nachylił się ku niej, jak gdyby go słyszeć mogła i rzekł stłumionym głosem:

— Elsie, ja zbyt ciebie kochałem. Dla tej miłości zgubiłem mą duszę; ta miłość stała się dla ciebie przekleństwem i śmiercią. Ale jeśli teraz słyszeć mię możesz, dowiesz się że cię kocham bardziej niż kiedy. Jesteś moją, moją jedynie, i moją będziesz w wieczności, tak jak i na ziemi; a jeśli prawdą jest to w co ty wierzyłaś, jeżeli Bóg mocen jest przebaczyć, jeżeli boleścią, męką i śmiercią odpokutować można zbrodnię, spotkamy się znowu, Elsie. A gdy się spotkamy znowu, nie odwrócisz się już odemnie jak to dziś uczyniłaś. Przysięgam to na ciało twoje, biedna, zamordowana gołąbko moja najdroższa!

Mówił uroczyście, jak gdyby ślub wykonywał, potem nie dotknął ani ucałował martwych zwłok, tylko oddalił się rzuciwszy na nie ostatnie, długie spojrzenie.

Wkrótce potem stara Isott, słysząc zamykające się drzwi wchodowe, pobiegła do okna i ujrzała swego pana jak szedł szybkim lecz niepewnym krokiem ulicą do wsi prowadzącą.

Wikary siedział w swym gabinecie smutny, zmartwiony, słuchał ze ścieśnionem sercem opowiadania pana Smitha. Wtem drzwi otworzyły się nagle, obadwa gentlemani zerwali się ze swych siedzeń, bo im się wydało jakoby wywołali ducha z grobowej zaciszy.

Pan Carter wydał okrzyk podziwienia.

— Denbigh!

— Pan jesteś urzędnikiem, rzekł wchodzący patrząc prosto w twarz wikarego, i wymawiając zwolna i dobitnie każdy wyraz, jak gdyby powtarzał nauczoną lekcyją; dla tego przychodzę do pana. Czy szukacie Herberta Claveringa? Zgłębcie staw księdza opata, a znajdziecie szczątki zwłok jego; tam zginął przed trzema laty, w dniu 14 stycznia....

— Z własnej ręki?

— Nie, z mojej. Powróciwszy do domu owego wieczora, zastałem go czekającego przed drzwiami mego mieszkania, bo nie było komu je otworzyć. Sam przyszedł do mnie. Powiedział mi że nikt nie wie o jego powrocie. Sambym go nie był poznał, tak był zmieniony i zmizerowany. W pierwszej chwili żadna zła myśl nie powstała w mej głowie. Bóg mi świadkiem że nie. Chciał pójść zaraz, ale to być nie mogło, to by ją było zabiło. Zatrzymałem go, powiedziałem mu że ona wyjechała, że bawiła u przyjaciół w Londynie. Sam nie wiem co mu powiedziałem, chciałem tylko zyskać na czasie. Postawiłem przed nim jedzenie i picie; ustąpiłem mu własnego łóżka; a odprowadziwszy go do sypialnego pokoju, wróciłem na dół, i wtedy, wtedy pomyślałem o jutrze. Usiadłem i pogrążyłem się w myślach; nie o siebie, Bóg widzi że nie o siebie mi chodziło! W tem usłyszałem szelest przy drzwiach. To był on; powiedział mi że nie może spać, że stracił sen od czasu jak tak wiele ucierpiał. Prosił mię abym mu co dał. Wskazał na drzwi od apteki, i zapytał mię czy nie mam jakiego lekarstwa na sen. Wtedy objawiło mi się wszystko, nie prędzej; ale patrząc na niego jak stał przedemną, oddając się w moje ręce, uczułem że mogę go zabić, że mogę go usunąć z mej drogi...

Przez chwilę ściągnięte brwi nieszczęśliwego i skrzywione usta przybrały wyraźne piętno Kaina, lecz natychmiast pokonał zbyt wielkie wzruszenie i mówił dalej przygasłym głosem:

— Skoro wypił zgubny napój, zapytał mię: czy jesteś pewny że zasnę? odpowiedziałem: Jak najpewniejszy. A potem.... potem,... kiedy zasnął nakoniec — przywiązałem mu ciężki kamień do szyi i wrzuciłem go do stawu księdza opata. Oto wszystko co miałem powiedzieć.

W kilka dni później, wikary powracał smutny do domu o zmierzchu, z posiedzenia sądowego w Slowcombe. W tem koń jego stanął na zakręcie ulicy, i on sam znajdując się w stanie nerwowego rozdrażnienia, drgnął nieco na widok ciemnej postaci, zaledwie dającej się odróżnić od kępki drzew pod któremi stała. Gdy ta postać wystąpiwszy na drogę, zbliżyła się do niego, poznał własną żonę, w chustce na głowie.

— Nie mogłam się już ciebie doczekać, rzekła. Jakże się skończyło?

— Tak jak się skończyć musiało, odrzekł smutnie wikary, zsiadając z konia i biorąc w rękę uzdeczkę, będzie sądzony, podczas przyszłych posiedzeń przysięgłych.

— Czy zgłębiano staw?

— A jakże.

— Czy ten nędznik okazuje skruchę, czy też tak jest żelaznym jak zawsze?

— Mówi jak najmniej, ale przez te ostatnie kilka dni zmienił się straszliwie. Włosy mu zbielały, i chód ma zgrzybiałego starca. Od śmierci Mary, skruszył się zupełnie. Zaciężyła nad nim kara Kaina, „większa niźli znieść ją podoła.

— Przyzna się naturalnie?

— Jedynem jego życzeniem jest, odnieść całkowitą karę za swój występek. Ja przypuszczam że ta pochłaniająca namiętność, która owładnęła całą jego istnością, i tak fatalnie do złego popchnęła, zwraca go nakoniec do dobrego. Pewny jestem prawie, że gdy ujrzał swą żonę konającą, zrozumiał po raz pierwszy w życiu, że musi być wieczność wynagradzająca krzywdy i cierpienia doczesne... Przypuszczam że go opanowała myśl iż odpokutowawszy swą winę, spotka się z nią po za grobem. Wprawdzie to tylko domysł z mej strony, on bowiem nic nie mówi. Lecz, drogi Pańskie są cudowne i niezbadane....

— Całe twoje współczucie jest dla niego, zawołała z pewną wymówką, pani Carter. Czyż nie pomyślisz wcale o biednym Herbercie Claveringu? Co ja, to jedynie! o nim cały ten czas myślałam. O Johnie! Cokolwiek spotka tego nędznika, zasłużył na swój los!

— A kimże my jesteśmy, odrzekł jej mąż uroczyście, abyśmy sąd na niego wydawali? Powinniśmy ciało jego zostawić sprawiedliwości ludzkiej, a duszę miłosierdziu Boga!

Tak rozmawiając doszli do drzwi probostwa, a wikary, oddawszy konia czekającemu nań człowiekowi, odetchnął głęboko, i poszedł do saloniku, jak gdyby chcąc już skończyć z tym przedmiotem. Pani Carter zmiarkowała że potrzebował się rozerwać po tak ciężkim dniu, lecz sama nie była w stanie oderwać jeszcze swych myśli od tego bolesnego przedmiotu, i pobiegła na chwilkę do swego pokoju na górę, aby nieco przyjść do siebie. Spojrzała przez okno, i zobaczyła zdaleka światło, które jak jej było wiadomo, pochodziło ze śmiertelnego pokoju w opactwie. Wyobraziła sobie jak tam leży biedna Elsie, ze swoim dziecięciem u łona, biała i spokojna, i jak stara Isott płacząc i łkając składa śliczną drobną wyprawkę, z taką dumą i rozkoszą niedawno przygotowywaną, a która nigdy już użytą być nie miała. I to czyniąc stara kobieta myślała zapewne o innem dziecięciu, które przed trzydziestu kilku laty pielęgnowała, karmiła i pieściła, i wierne jej serce pękało z wielkiego bólu.

Pani Carter otarła oczy i poszła do dziecinnego pokoju. Ogień na kominku palił się wesoło, a w około niego kręciło się troje najmłodszych dzieci, które świeże i rumiane po wieczornej kąpieli, w białych nocnych sukienkach czekały aż mama przyjdzie paciorek z niemi zmówić. Na ten miły widok zadrgało jej macierzyńskie serce uczuciem wdzięczności, połączonej z dotkliwym bólem. Dzieci dziwiły się dla czego matka tak serdecznie ich uściskała, gdy się zgromadziły u jej kolan, i dla czego tak czule ujęła ich drobne złożone rączki w swoję dłoń w chwili gdy ich niewinne głosy, nieświadome grzechu i cierpienia, wymawiały tę prośbę której doniosłości rozumieć nie mogły:

„I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.“

Дозволено Цензурою. Варшава 9 (21) Октября 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.